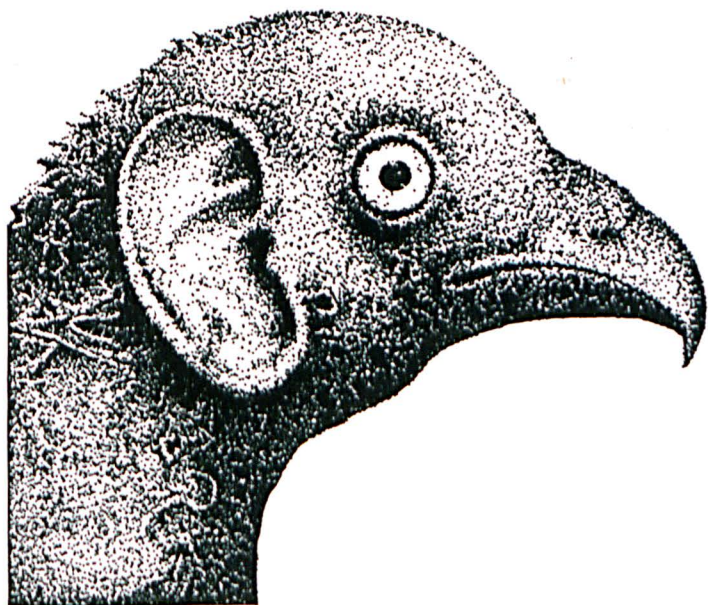


z dziobem trzmielojada

Marek Pietrzela



Marek Pietrzela

... z dziobem trzmiełojada

Miejska Biblioteka Publiczna
Towarzystwo Miłośników Podlasia

Biała Podlaska 2011

BIBLIOTECZKA
PODLASKIEGO KWARTALNIKA KULTURALNEGO
(nr 9)

*Tomik ukazał się dzięki pomocy
finansowej Prezydenta Miasta
Biała Podlaska*

ISBN 978-83-916034-4-4

Wybór, redakcja i skład:
Grzegorz Michałowski

Projekt graficzny, ilustracje:
Arkadiusz Sawczuk

Druk: Pracownia Poligraficzna Miejskiej Biblioteki
Publicznej w Białej Podlaskiej, ul. Warszawska 12 A

Z „Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego”
(2009, nr 1, s.23):

*Utwory Marka Pietrzeli, to proza uporządko-
wana rytmicznie, barwna, pisana pięknym językiem
poetyckim, liryczna. Czytając jego „Podlaskie
igraszki” można poczuć się jak w kinie podczas
projekcji filmu krajoznawczego
o magicznym Podlasiu.*

... z korespondencji z redaktorem
naczelnym PKK (30.03.2010 r.):

*(...) Ta proza Marka Pietrzeli jest wspaniała!
„Napina się łuk Bugu nad naszym Podlasiem” (...),
toż to czysta poezja! Te krótkie impresje trafiają
w samo sedno. Jakże to Podlasie ma szczęście do
artystów. Gratulacje Markowi Pietrzeli,
za poetycką wrażliwość i wielki talent (...)*

*(...) Piękne są impresje Marka Pietrzeli. (...) Jedna
refleksja głęboka nasuwa się, że to Podlasie jest ma-
giczne nie tylko ze względu na krajobraz, ale przede
wszystkim to ludzie i ich historia tworzą tę magię.
Ta proza kojarzy się z językiem Brunona Schulza,
tyle w niej sensualizmu, pięknych metafor, no
i tragizm ludzi zamieszkujących Kresy (...) Czekam
z niecierpliwością na więcej takiej prozy,
na całą książkę.*

Maria Makarska

Ze słowniczka eMPi - ego:

dowszqd

deszczośnieg

puchanie

tęskniej

oszs ...oszs

prawdki

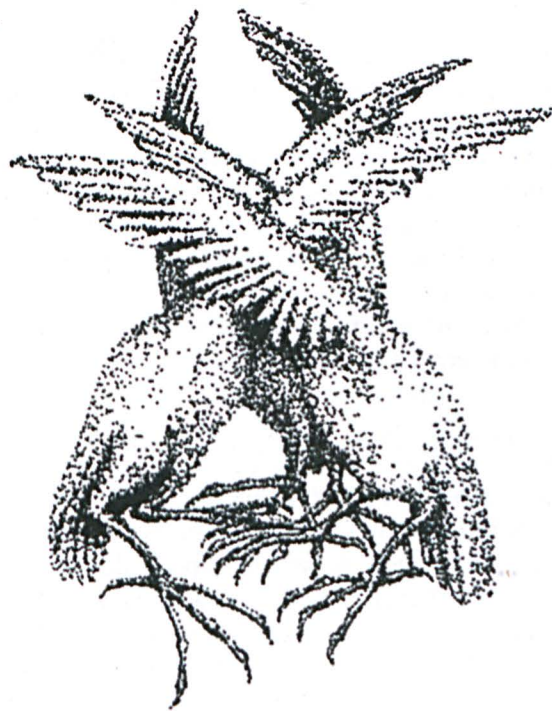
ćwierkotka.

dojne jaskółki

rozbrysiany

dziób, dziobaj

Z Biura Śledczego mig-a !!!



s z e p t a n k i

Lotnisko legło pokotem

Nie ma znaczenia, kiedy jest niski i wysoki pułap chmur. Nad naszym lotniskiem możliwe są tylko przeloty aniołów. Wzlatuje jedynie nadzieja. Sosnowe lasy naciągają na siebie białą kołdrę gęstej mgły, aż po kosmate brwi. A lotnisko śpi. Przeciąga się od Sidorek do Wólki Plebańskiej, aż trzeszcza resztki płotów. Nawet nocą nad pasem nietoperze nabierają rozpędu i przesłaniają księżyc. Lotnisko zawinięte w głuszę. Śpi. Uśpione na przelomie wieków. Z bardzo cichą nadzieją na odloty.

Urzeczenia. Tam, nieco za graniczną rzeką

Tam cisza inaczej odmienia się przez ucho. Dusza tańczy bez opętania. Przesiewa się życie jak wschodni wiatr w zaroślach. A czas kąsa po łydkach jak wściekły kundel. Tam nie ma szans nawet na ziemię obiecaną. Mrok skrada się w czarnych skarpetkach. Nawet w biały dzień pozostawia ciemne ślady. A nocą księżyc przymyka oko i mruga jak sprośny sutener. Czaruje lilie wodne. Pijany pogubił monety na granatowym niebie. Świecą jak złote ruble. I wodzą na pokuszenie. Nawet puchacz zachłysnął się swoim puchaniem. Echo niesie jego śmiech wymieszany z czkawką. W zwariowanym świecie wiaterek dostał kręćka i udaje trąbę powietrzną. Głaszczę go po mokrej grzywie. Łasi się do dłoni jak dobre psisko. Będzie lepsza pogoda?

Całokształt na granicy deszczośniewu

Kiedy śniegodeszcz przechodzi w deszczośniew, pozostajemy w dziwnej wewnętrznej pułapce. Nie potrafimy dogonić metamorfozy kolejnego przedwiośnia. Jak słonie w składach wirtualnej porcelany. Czy nie jesteśmy za bardzo rozpędzeni i brutalni, a nawet barbarzyńscy wobec misternego całokształtu świata? Czy potrafimy oderwać od seriali oczy wessane w ekrany? Jakże możemy zobaczyć ducha czasu spacerującego po wierzchołku szronu? Czy aby poznać istotę świata trzeba z niego ściągnąć skórę? Czy wszystko zapisane nie może być lekkie i kojące jak westchnienie? A zapomniane powinny być horrory na przykraj jawie? Czy ludziom nie warto dać wreszcie ukojenia i wytchnienia?

Nocne przechadzki Kraszewskiego

Nocami Kraszewski wyprostowuje kości. Trzeszcza, jak trzcina w sąsiednich kamieniczkach. Mistrz wstaje z ławeczki i przelicza gwiazdy. Też ma apetyt na poezję. Jasnowidz, przewidział wolność Polski. Rodacy to zapomnieli. Pisarz spaceruje po swojej ulicy. Podziwia romansujących. Obok krzewów mahonii przymruża kamienne oczy. Wydaje się, że tresuje wiatr, mgłą wygładza krajobraz. Powraca jednak na ławeczkę i jakby nic, znów obserwuje magistrat. Ma na wszystko oko.

Urzeczenia (2)

Kiedy wieczorami nasza biedna podlaska brzoza zapatrzy się w niebo i szept mrugających gwiazd, wydaje się być oczarowana. Jak panna młoda w przeddzień ślubu. Nabiera elegancji. Porusza lekko woalem listków, okręca się w wietrznym walcu i poprawia białe rajstopy. A potem zaprasza nocną sowę na dłuższą pogawędkę. Bez mejli, bez esemesów, ale z długim, podlaskim zamilczeniem. Na ten sam temat. A może na tematów sto. Między jednym a drugim milczeniem słychać jak przyspiesza ożywczy sok brzozowy.

Lotnisko nadziei

Z naszego lotniska startuje nadzieja. Unoszona na skrzydłach marzeń wlatuje do lotu ponad żywą nitką Krzny, ponad nierówną szczecinę lasów. W naszej guberni pokonanych rezygnacja rośnie szybciej od pokrzyw, ostów i topól. Poruszamy się nieistniejącymi wiaduktami. Wzlatujemy ponad mostami. Wielki świat jest bliski na wyciągnięcie wyobraźni, wystarczy tylko przebić się przez babie lato. Marzenia dotyczą kryształowego dachu doliny. Mkną obok szpaleru wieżowców, które gromadzą się wśród chmur ponad burzliwym horyzontem. Wystarczy tylko wciągnąć się w nadzieję, jak w narkotyk. Uzależnia. Niekiedy jak latarnia gaśnie. Pod kropłówką pragnień wierzymy w nasze fantomy. Lepsza przyszłość. Podlaska ziemia skażona jest goryczą i tęsknotą do lepszego. Być może gdzie indziej jest lepiej, ale u nas tęskniej.

Czar Serpelic

Za Borsukami czara lasu i rzeki się otwiera. Niewidoczna aura opada z mocniejszym słońcem, prawdziwą rzeką i najbardziej leśną wonią. Inny świat nad tą samą rzeką co i w Gnojnie, a tak inną. Jakby działał czar ukrytych źródeł. Czujesz, że za chwilę musi spaść gwiazda ...

Podlaskie pasiaki

Nasz podlaski świat przypominał awarię w olbrzymim telewizorze. Wszędzie ciągnęły się równomierne paski równinnych miedz, pasy lasów, żyta, ziemniaków. Paski dróg. Bardzo uporządkowany, nadzwyczaj spokojny świat, czasami tylko ktoś nie wytrzymał tych proporcji i zostawał szaleńcem.

Bużyska

Wspaniałym wynalazkiem były nasze bużyska. Z grązelem, zieloną rzęsą, zacięzioną szafirowo łyskającą wodą i jakby przyklejonymi do niej wcale nie sztucznymi, ale żywymi łabędziami. Tylko nie było brzydkiego kaczątka. Po prostu, świat przybrał formy całkiem dojrzałe. Bużyska byłyby niezłym towarem eksportowym. Pech chciał, że bardzo trudno byłoby je oderwać od podłoża i opakować, najlepiej w przezroczyste folie z trójkolorowym nadrukiem „Made in Podlasie”. Unia Europejska czekała ...

Głód nadziei

Głód nadziei był olbrzymi. Wydawało się, że potrafi ona pochłonąć wszystkich. Wrodzone poczucie przyzwoitości nakazywało nam skromność. Doświadczenie poparzonych dziesiątki razy, ciągle szło to na marne. Jakby nie okazywało się, że ogień to nie forma przejściowa lodu, ale bolesna rzeczywistość obecnej chwili. Za każdym razem jednak kusił jego czar, głębia żaru i pokusa przejścia płomieniami do przodu.

Nasza ruska ruletka

Nasze pokolenie trafiło w historyczną ruletkę. Gdy blask wolności został odzyskany, słabo jednak lśni miłość Ojczyzny. Łatwiej o pomniki z brązu, aniżeli z czystego serca. Solidarność ludzka uwiędła jak przedwczorajszy tulipan. Wydawało się, że zostaliśmy przesunięci daleko na wschód. Za Bug, a może nawet dalej. Tylko nasze kasztanowce modlą się nad biedą okolicznych chłopów, zepchniętych do ubóstwa.

Poszum

Choć radość u nas skąpa, a gorycz rozległa jak ukraiński step, to jednak ludzie żądni piękna i romansów. Nasze lepsze baśnie zeszły na boczny tor. Są bladym cieniem niemal każdego serialu telewizyjnego. Hrabina Cosel przeminęła z wiatrem, a u Woroneckich w Huszlewie teraz ptasi rezerwat. Popłuczyny seriali zastąpiły starą, nowszą i nawet jutrzejszą baśń. Gdybyż można przywrócić dawną świeżość świata, pałacu

i trawy? Dwór nadal trzyma się dobrze, bardzo malowniczo widnieje w klamrze powoli żółknącej zieleni. Zawsze wydaje się świeży, jakbyś to wczoraj zostawił w przedsiönku swój cylinder. Tak, jak za dawnych lat, życie ciągle urzeka i rozczarowuje ukrytym fenomenem. Wydaje się, że już masz ogon komety w dłoni, ciągniesz ją, a to tylko lepią się resztki babiego lata ... Nad cichym, a zdradliwym Bugiem, spokój jakby otarł się o aksamit aniołów. Nie, jeszcze nie nadlatują. To tylko dociera miły szelest sosen. W pajęczynach pełnych światła najprzedniejsza kolekcja diamentów rosy. Motyl przy starym cmentarzu składa skrzydła jak ręce pierwszokomunistycznego chłopca. Cisza nieprzeceniona, ukochana, kojąca jak słodki balsam. Głusza, aż w uszach dzwoni. Gdzieś za obłokiem rozlega się tajemniczy poszum. Oszz ... oszz ...

Zagubionej wsi

W swoim wieku pomarli tu biedni i zgnębieni, opuszczeni przez ludzi i cywilizację. Mieli tylko wolny dostęp do Boga. Pogodzeni z kieską, z piętnem zagubionego i nie rozpoznanego do dziś przekleństwa, odeszli w tamtą przestrzeń. Pozostało nam tylko kryształicznie czyste powietrze.

Jak gra nam serce

Jakże dobrze czuć nadmiar lata ... Nawet grabowe szpalery salutują mu w Romanowie. Chociaż przeminęły pejzaże strzech, żurawi i wiatraków pełnych

drewnianych uroków, to jednak ustawicznie pociąga urok smętnych kapliczek, tonących w gęstwinie dworców i świątków zapadłych w beczasowe zamyślenie. Ech ... rzeki tu płyną leniwie, jak na bezdrożach usypiający na lewym boku czas. Nikt nie zwalnia nas od wkładania całych rąk w śnieżny żar, teraz osmalone kikuty nie mogą bić braw. Przyszliśmy, byliśmy i ... nie ma nas. Tylko w snach inaczej nam serce gra. Pik, pik, pak.

Co nam w duszy ...

Nie do uciszenia nasz wiatr. Nie do wyśpiewania melodii. Nie do odtworzenia jego rytm - szaleństwa, ale też dotyk łagodny.

Nasze peryferie

Gdzieś wysoko, w szczytach świerków, wylęga się nasza prowincja. Ma gest - dla wszystkich gratisowo serwuje krystalicznie czyste powietrze. Niewidzialny klejnocik kołysze się w nozdrzach, przepelnia płuca, aby w sekundzie wyparować.

Przełom z goryczką

Przemiął z wiatrem dawny świat - pełen cukierników-amatorów, którzy wytwarzali potoki lukru. Niczym kamfora zniknęli wazeliniarze, ze swoim smarem doskonaliśmy na odciski przełożonych. Do lasów wycofali się bartnicy z hektolitrami krzepiącego miodu. Na za-

wsze zabrakło ptasiego mleka. Strajk dojnych jaskółek był bardzo dokuczliwy. Nowe czasy przyniosły nowe tendencje. Ostatnio zdumiewająco szybko wzrasta produkcja goryczy. We wszystkich latyfundiach zakładane są plantacje piołunu. Nawet dzieci uskarżają się, że zamiast „ptysia” jest solanka. Na pospiesznych kursach zdobywają dyplomy mistrzowie dodawania do wszystkiego dziegciu. Ponurzy meteorolodzy zaś zapowiadają ciągle zachmurzenie, przechodzące w opady. A wiatr historii wieje nam wszystkim w oczy. Czy nie warto odwołać się gdzieś do powyższych decyzji i poprawić suplement do terażniejszości?

U kresu

Wspólny był nam kres. Tu polskie wrony zawracały, a diabeł zaciągając ze wschodnim przyśpiewem pocziwie mówił - *dobranoc*. Bagna, kanały, wzgórze i doliny przepasane były sosnami i olchami. Mieszanka europejskich ambicji z bizantyjskimi twarzami, jakby wyciętymi ze starej ikony. Leniwie płynął zdradliwy Bug. A kiedy podeszliśmy do naszego domu, odpadła wzdłużna ściana wschodnia. W każdej chwili mógł runąć dach pozbawiony jednego podparcia. I tylko radoła świeżość wiatru wiejącego znad tamtych stepów ...

Prawdki

Po latach zamętu i polowania na haki trudno powiedzieć kiedy rzeczywiście odkryto prawdki. Głośna hi -

poteza głosi, że docent prowincjonalnej uczelni wskazał na konieczność ich istnienia. Grupa ortodoksyjnie nastawionych członków Klubu Miłośników Głodzonego Kamienia skrytykowała te „wsteczne poglądy”. Niespodziewanie w przedostatnim tygodniu wiosny pewna wycieczka odnalazła w naszych górach stwory emitujące dziwne promienie. Świt wtedy przybrał wspaniałą barwę niezapominajek.

Na szczęście, dzięki przenikaniu i wsączaniu prawdky trafiły prawie pod każdy horyzont. Lubiły jasną sytuację. Wystarczyło, że ludzie spojrzeli sobie głęboko w oczy, a już za miły moment po pomieszczeniu unosiły się jak motyle prawdky. Właściwie były przejrzyste jak mgnienie meduzy. Sprytni wytwórcy rozpoczęli nawet produkcję prawdkowego ekstraktu. Najchętniej kupowali go serdeczni, którzy nie przewidzieli groźnych następstw użycia bezpośredniego dobra. Podobnie jak w minionych dziesięcioleciach zastosowanie prawdy, piękna i dobra było ryzykowne. Parlament nakazał nawet wprowadzenie akcyzy na te archaiczne, jego zdaniem, wartości.

Cień 1

Pani Doktor pośród domowych relikwów trzyma okupacyjną gazetę z nazwiskiem jej ojca, czerniejącym wśród wykazu rozstrzelanych. Żalobny druk. Katyń przychodził do niej częściej niż koszmar jednej nocy. Katyń żył w niej zaciśniętymi ustami, twardym milczeniem, kłopotami z życiorysem pisany ciągle od nowa. Odżywał w szykanach, braku awansów, stalo-

wych oczach porucznika - czekającego na cichy płacz lekarki. Ze względu na tę czarną wyrwę we wschodniej historii nie otrzymała paszportu na wyjazd z okazji sympozjum w Wiedniu. Zaproszenie poszło do szuflady. Osaczyły ją plotki, szepty i nagłe rewizje. Przyszedł oblęd, gorący jak prażony piasek. Z nocy na noc.

Cień 2

Pan Władysław nie wspominał nigdy o przeszłości ojca, który przetrwał Kozielsk dzięki twardym dłoniom i złotemu zegarkowi. Gruby naskórek na rękach był przepustką do obozowej piekarni, bowiem enkawudziści oceniali człowieka po odciskach. Wkrótce za złotą doxę, otrzymaną od Piłsudskiego, kolejarze schowali i wywieźli ojca pana Władysława w parowozie. Wrócił do domu jak należy. Pomimo donosów, pouczeń sekretarzy partyjnych oraz kuratorów PRL, pan Władysław uczył dzieci o czwartym rozbiórce Polski, o Katyniu. Na wszelki wypadek nie wspominał jednak o ojcu. Pamięć nie pozwalała mu na pełną wierność.

Choćby

Losie mój, unieś mnie, choćby na stopę, na lekki powiew szczęścia, na odrobinę lotu, miękkiego szemrania skrzydeł, prześwit radośniejszego słońca, choćby na promienną, naiwną chwilkę. Gdybyż można nie zastygać w brudnej mazi poniedziałków i wtorków,

a przesunąć się nieco do przodu, odrobinę w bok, choćby nawet lekko na skos. Aby tylko nie zapaść w czarną otchłań, by nie zastygnąć w milczeniu i beznadziei. Aby tylko nie zamrzeć w bezruchu na dziurawej krzce, która wstępuje pod szarą kipieli.

Rzuty

Na pierwszy rzut oka - porządek, na drugi - bezpieczeństwo. Wtedy jako ślepcy trzymamy się białej laski. Biała laska jednak zbyt krótka. Ona nie jest laską. Pałka stała się złym doradcą. Żyjemy wspaniale pod wspólnym dachem, którego w istocie nie ma. Kiedy pada deszcz wydaje się, że to lzy wzruszenia. Takie to mamy wzniosłe chwile.

Tak śpiewa dusza Podlasia ...

Sucholubne Podlasie wdrapuje się na wyższą gałąź. Z dziobem trzmiejojada i oczami puchacza cichutko popiskuje nad przydrożną miedzą, sunie pomiędzy wrzecionami usychających sosen. Smętnymi oczodolami lypie na martwy dysk księżycy, który usiłują przesłonić chmury. Trzepocze skrzydłami nietota, który liczy na to, że może jednak za chwilę zerwać się do pękatego nieba.

Podlasie - niekiedy swojskie, z pogwizdami, popiskami, kłębi się pomiędzy pokrzywami, poprzerastane gałązkami, powichrzone i szmatką powiewające, śpiewnie zaciąga wtedy tęskną pieśń „O jezioro, jezioro”. Aż wreszcie, kiedy kur zapieje, ciężkie, ziemniaczane

i bagienne, mroczne, przepada w brzezinie zamaskowanej białymi smugami. Na wszelki wypadek nieufne.

* * *

*Jesteś źródłem, miękkim wiatrem, co przenika,
słońcem nienasyconym, co wysusza,
dobrem podanym z zieloną herbatą.
Z rzadka ujawnionym uśmiechem.
Przelotem piękna i zamyśleniem promienna,
zastuchaniem ciszy i huraganem nadciągającej
emocji.*

Rozkwit skanseniku

Teraz w naszym skanseniku żyć nie umierać. Zachłystujemy się wolnością - dla skrzywienia żurawia i turkotania żelaźniaków. Nasze grupy folklorystyczne popiskują z cudzoziemska i wyją z zachodnim akcentem. Oczekujemy na duży kapitał. Kiedy skośnooki turysta dał nam dziesięć dolarów napiwku, kupiliśmy garść gumy balonowy i nagminnie żujemy ją przed lusterkami. Ładnie to, po europejsku wygląda. Przygotowujemy obligacje dla naszej fabryki sztucznych pawich piór. Rozpiera nas dziwna energia. Tera nic nie doskwiera.

Szuwary

Było sześć, a może nawet i osiem, ścian wschodnich. Żadne to cuda świata, ot, jeszcze jedno misternie zdobione drzwi do lasu, od którego dawno zginął klucz. Zamiast pomostu do dobrobytu, na kresach próbowa-

no ulepić z nadbużańskich piasków bicz do poganiania postępu, leniwego jak ospałe woły. Nawet UFO omijało tę Ścianę na naszych kresach, gdyż żadna cywilizacja nie mogła zrozumieć tutejszych ludzi, myślących tylko po naszemu. Tylko niezdarne nasze hieroglify, zapisane na ścianach miejscowej knajpy, potwierdzały, że targał nami wielki metafizyczny niepokój.

Ludziom za lepszym tęskniącym

Gdybyś świat malował na deskach. Gdybyż była tylko poświata niebieska ... Nie poznasz, że miasteczko ma podskórną grafikę. Świat jest tylko odbiciem w naszych oczach, kserokopią myśli. A grafika jest naszym wszechświatem. Dobrze wiesz, Panie Romualdzie. Dziękuję za krótkie przepływy żalu i pomysły. Dziękuję. Oto tęsknoty za roztrzaskanymi, pogubionymi w zaroślach i miedzach kapliczkami. Któż Panie Romualdzie III je podtrzyma, jak wierne niewiasty. Kto zachowa strzechy ze stadami rozkosznie radosnych wróbli. Wzgardzone pejzaże mającą tylko w poźółkłych grafikach. Nowszy krajobraz, na beton, eternit i glazurę, utyka.

Światom obok istniejącym

Żal, wielki żal niewypowiedziany, większy od chwastów tej ziemi, od lotności jaskółek nadbrzeżnych i od smutku tui, kuli się w kącikach oczu i w przedsiönku krtani. Pozostało nam tylko topić się w mroku. A na niebie serial samobójstw gwiazd – spadają jak zrozpa-

czone Laury po wykryciu zdrady Filona. Wydawało się, że to nie deszcz, ale smagają nas lzy aniołów. Inna odmiana ciszy. W przelocie przeciągów między wiekami, kiedy pokolenia rozsypują się na mialki proszek. Między lepszym a nieco gorszym czasem, gdybyś mógł strząsnąć widmo zagłady, które być musi. Choćbyś pragnął, nie odwołasz wypowiedzianych słów. Nad ranem jednak jutrzeńka prześwituje jak kosmiczny ultrasonograf. Płomienie przenoszą świat w inną dal. Gdzieś nad Toczną bywa też uroczko. Bo dobro może istnieć w replice piękna, choćby na innym archipelagu Wszechświata. Naszej czystej ziemi tak blisko do krajobrazów magicznych, stąd może wyjść radość życia i metafizyki. Szepczę do siebie, bo i jak nie kochać świata. Najczulej, jak tylko pozwalają ważki, gile i żonkile. Za to, że istnieje, i tylko tyle. Tylko sercem zagłuszamy huk świata.

Sklejanie wiatru

Krzepiło nas zszywanie chmur, sklejanie wiatru i ścianie deszczu. Dzięki tym podstawowym czynnościom wszyscy chętni bezrobotni znaleźli pracę przy tych niezwykle absorbujących czynnościach. Tylko niewielu chciało wykręcić się od tej oferty. Ileż radości i profitów przyniosło naukowcom wykrycie nowych ściegów do obłoków, kleju do wichru i piły ulewowej! Powstały nowe gałęzie nauki. Teoria ścięła się z praktyką. Racjonalizatorzy nie szczędzili ani dnia, ani nocy, na opracowanie zaskakujących wniosków – koniecznie ze współudziałem dyrekcji zakładu! Poeci rywalizowali w konkursach na najlepszy so-

net antymeteorologiczny - *Nasza siła w naszych rękach*. Skromny wycinek naszego świata przesuwał się w nowym kierunku. Gdyby tylko grupa zarzucających realistów nie przeciwstawiła się osiągnięciom naszej cywilizacji, byłibyśmy znacznie bliżej cudownej przemiany śniegu w deszcz i powiewu w wicherek. Czekanie na metamorfozę meteo potrwa dłużej niż świętowanie milenium po milenium.

Wszystko wróciło

Upoważnia się sanację do powrotu. Prawie wszystkie partie gotowe, szykują się już bojówki. Endecja zerka, gdzie była ubecja. Piłsudczycy prężą grdyki. Role obsadzone, stałe elementy gry przygotowane. Z dnia na dzień polska wieś coraz bardziej kuleje. Chłopi walą paluchami w laptopy. Facebook lepszy od wieprzy. Latoś żurawie zastąpią wodociągi, a bociany porodówkę. Woły zaś pociągną kombajny. Chóry śpiewają bez końca *My pierwsza brygada*, tylko Kasztanki brakuje. Bezrobotni przypominają sobie *Międzynarodówkę*. Wyklęty już nie powstaje

Poroniona lekcja

I dokąd zaszła nasza linia, która była wytyczona w zawsze słusznym kierunku? Czy przypadkiem kreślarzowi nie zadrgała ręka? A może sam kręcił się w kółko, jak nóżka od cyrkla? Kiedy już wydawało się, że podchodzimy do ekstremum funkcji, wyszło na jaw iż rozwiązania nie ma, gdyż w grę wchodzi zbyt wiele niewiadomych. Jakie czynniki brały udział,

skoro nie wyszło mnożenie? Co to za działanie? Z urojonych liczb mogła wyjść nam tylko poroniona matematyka. Z fizyką też krucho – z równi pochyłej zsunęliśmy się na pysk. Kiedy wreszcie rozpocznie się normalna nauka? Kiedy przestaną nam dawać lekcje?

Za – duszę

Przepraszam za duszę, głupią jak ćwierkotka. Szczeciobiotliwą, niby stado wróbli. Gburowatą, jak ponury bandzior, który zerka spod oka. A niekiedy rozmodloną, jak mniszka w sakralnej ekstazie. Wtedy jest płomieniem i żarem. Rozpala się i pulsuje żywym ogniem. Jest palącym pragnieniem. A oczy półpłynnego ognia są ślepe. Goreją i rozjarzają się jak rozkwitające słońce. Jak kopia słonecznika. Płomień nie widzi swego blasku. Kiedy moja dusza jest żarem stęsknionym do Pana, wznosi się w szerokie przestrzenie ponad błękitem. Jeszcze wyżej. Nad czwarty horyzont. Przepraszam za tę chwilę słabości. Na co dzień cicho kryję duszyczkę pod poszewką jesiennych snów. Przygniatam ją żalonym serialem ze sztucznym chichotem. Wtedy nikogo nie przepraszam.

Całokształt

Kiedy tylko chcieliśmy schwycić i ująć całokształt, wymykał się jak słoneczny zajaczek, łapany przez dziecko. To właśnie jego trzeba było więc najpierw obarczyć odpowiedzialnością za nasze poprzednie kroki. Gdy spytano *na co poszły tak olbrzymie środki*, mieliśmy gotową odpowiedź, że na całokształt. Nasz

prezes, dyrektor i przewodniczący, oraz reszta kadry, też schowali się za niego. Wszyscy byli mu bardzo wdzięczni. Z taką tarczą żyje się spokojniej.

Miodówka z za piątej pamięci

Za piątą pamięć, za szóste wspomnienie, schował się upojny zapach mojej starej gruszy z owocami, które sokiem tryskały w ustach - najśłodszą współczesną ambrozją, bez słodzika. Tamtego smaku i miodowego aż do szaleństwa zapachu nie zasłonią nawet rzęsy aniołów, spadające jak puch z przelatujących żurawi. Pac. Pac. Tęskno. Jak po poblasku, tuż po zachodzie słońca, kiedy już miotła wieczoru zamiata z horyzontu resztki złocień. I kapelusz ciszy opada na uszy wsłuchane w noc. Rondo zakrywa piątą pamięć, szóste wspomnienie.

Tajemnicza ikona na nowo zalśniła

Po terespolskim jeziorku, pociągniętym delikatną mgielką zielonej rzęsy, płyną dwa łabędzie - wygięte w secesyjne kabluki. Pędzą przed sobą jaśniejącą jutrenkę. Gdy wiatr rozwiewa błękitny obłok, lśni ikona z przepięknym blaskiem o czarownej mocy, kojącej najbardziej skolatane serca. Przejęte energetycznym światłem łabędzie zasłaniają oczy rozłożystymi skrzydłami. Ze wstydu, nieśmiałości, czy z poczucia głębokiej, ukrytej w sercu winy? W kierunku objawienia ciągną wierni, głodni prawdziwego blasku. Jest w nich pragnienie tak wielkie, że może osuszyć nawet głębokie jeziorko.

Duch ☺ naszego czasu

Nic głębszego, ani poważnego. Zwykle gadu. Byle krótko. Buźka. Gadu Gadu. Gadzie. Buzieczka. Piłeczka odbita od ściany. Jest OK. To na tyle. Pozdro. Nara. Będziesz? Wpadniesz? Nio, nio, nio. No, na piwo. A może później. Nio, nio, nio. Gadu na pół gwizdka. Emotka za emotką. Buźka. A tu, boli mnie Polska. Sorry. Bez znieczulenia. Gadu gadu nie unieś. Boli obluda świata i ludzi. Bez gadania. Sorry. Nio, nio. Nio. Buźka. To na GG? No, nie! Buźka. Ani Słychu. Ani Gadu. Czeee!

Przymiarki do apokalipsy (poemat)

Niby wagony pospiesznego pociągu rozpędzają się tygodnie od wyznaczonego terminu końca świata, którego nie było. Choć wróżbici i publicyści wyznaczyli dokładną datę, nie nadeszła wielka katastrofa. Jeszcze niedawno wydawało się, że przyszedł dzień gniewu. Po milczeniu - ciszy w niebie - nadpłynął obłok pachnących kadzidel. A za nim gromy, grzmot, błyskawice i trzęsienie ziemi. Później czarne słońce i krwisty księżyc, gwiazdy spadające oraz sunące na siebie góry i wyspy. Zamiera wiatr. Pozostają otulony mgłą nad Krzną. Przytłacza mnie ciemność. Kontury wierzb i Olszyn toną w czerni, wydaje się, że pochłania je nieprzenikniona przepaść. Pozostają porzucone na pastwę czarnej waty. Wchodzę na mech, jakbym stąpał po warstwie czarnych ptaków. Rozgrzebuję w sobie przyszłą śmierć. Czarny grom zapada w piersi. Horyzont kurczy się na zatrzaśniętych rżesach i zaciska jak pięść. Całe życie przymierzamy się do wózcza-lóżka-kabrioletu-trumny, do wąskiego prostokąta grobu. Prywatnej apokalipsy. Głuchego marsza. Smutnego Chopina.

Trzeba mieć świadomość końca, który jest przeżywany po wielokroć, jak przymiarki do śmierci. Jak świeca zdmuchnięta przypadkowym powiewem. Zarodki zagłady kielkują w czarnym pąku, kiedy on rozkwitnie, okrucy nocy zamienią się w wielką jej przepaść. Cicho, jakby przed groźną burzą odsuwa się olbrzymia plandeka nocy, nasza czarna paranoja. Chropowaty, twardy aksamit. Zaciskam powieki, aż

czuję obecny ból. Nieskończoną, pustą przepaść, zbyt dużą aby wytrzymać. Zbiorowa apokalipsa jest chyba łatwiejsza od prywatnej katastrofy. W tłumie odchodzi się raźniej.

Po poniedziałku

Jak świeca zdmuchnięta powiewem.

Wyczekiwanie. Oto nadchodziły dni ognistoczerwone, dymnoniebieskie, siarkowożółte. Kiedy zlatuje ogień, zmieszany z krwią, goreje trawa zielona, drzewa i ziemia, a ogromna góra ziejąca płomieniami zamienia morze w czerwień – pora już tylko na grozę. Kiedy z nieba spada wielka gwiazda, gorejąca jak pochodnia, wtedy wiesz, że jest to Piołun, który truje wszystkie wody.

Gdy rozbłyskały tęcze i słupy ogniste, gdy przebrzmiało siedem gromów, gdy przemknęły drapieżne błyskawice, nastąpił silny grzmot, trzęsienie ziemi i grad ciężki jak najgorsze winy. Kiedy morza, rzeki i źródła stały się krwią umarłego, którą mają pić najgorsi z najgorszych, nadszedł żar i ogień. Wrzuceni w ogniste jeziora, gorejące siarką, ludzie gryzli swe języki z bólu i bluźnili. Jak w Terespolu.

W każdej chwili mogło zacząć się spadanie z wielkiej wysokości w przepastną studnię, z której wypływa ciemny dym. Gdzie jest anioł tej przepaści? Aniele Abaddon, dlaczego ukrywasz się, skoro jesteś niszczycielem? Gdzie stali w pogotowiu czterej aniołowie, którzy mieli porazić śmiercią trzecią część ludzi? *W owych dniach ludzie będą szukać śmierci, lecz nie znajdą jej; zapragną umrzeć, lecz śmierć ucieka od nich* - napisał św. Jan. To największa Apokalipsa.

Uwierzyliśmy w nadejście najgorszego. Wsmakujemy się w umieraniu. Dopelnia się, opada mrok. Z łąk nad Krzną nadciąga czerń. Bezszelestnie jej tafla upada na szarość. Lodowata woalka. Wtedy narasta tęsknota do błękitu. Niebo brzemienne od ciemności wygląda jakby ogarnęła je chmura czarnych łabędzi. Cienie nawzajem się przenikają, krzyżują, aż przechodzą we wstęgę i gigantyczną czaszę kiru. W uszach dławi się milczenie. Tylko w sercu szemrze skurczony lęk.

Po wtorku

Moment ... Nie mogę sobie przypomnieć snu. Tak jakbym próbował chwytać uciekające mary, zanikające w pamięci niby porwane wicherem latawce. Poduszka zbita w mokry kamień. Ręka zastygła niby sękaty konar. Gawrony dziurawią nowy dzień głośnym kra-kra-kra. Jakby przenosiły okruchy nocy poza granicę mroku.

Jakże możliwy jest ostateczny koniec? Bez jutrzejszego jogurtu brzoskwiniowego, zapachu dzikiej róży, barokowego allegro molto Vivaldiego, skrzeczenia srok i śmigania języków wśród klonów?

Dlaczego apokalipsa? Czyż tłumy nie oddawały części demonom i bożkom ze złota lub srebra, z miedzi, kamienia lub drzewa? Ludzie nie odwrócili się od zabójstw, magii, rozpusty i kradzieży. Oklaskiwali konwertujący satanistyczny zespół rockowy. Bojaźliwi pytali – *kiedy zawrze gniew, kiedy nadejdzie pomsta? Panie, Panie, dlaczegoś nas opuścił? Kiedy nadciągnie lodowaty mech, rozżarzone słońce, księżyc*

i gwiazdy zaćmione. Bezkres czarnego mleka. Wszystko w gorejących jeziorach ognia i siarki. Już wrzało ogniste wino. Smutek. Biada. Ziemia wchłonęła rzekę. Koniec czasu się nie dokonał. Oczywiście, żaden spiker nie zapowie, czy jest to już ostateczny finał. Nie złamano siedmiu pieczęci. Nie było wizji. Nie dokonał się wielki dzień gniewu.

Po środzie

Coraz lepiej smakuje nasze życie odzyskane z zapowiadanego końca świata, którego nie było. Apokaliptyczna pieczęć nie została przyłożona. Otrząsam się z mrocznego dreszczu, pozostała jednak skaza programowanej apokalipsy. Zaplanowany finał czasu będzie powracał nie tylko w snach. Do końca trzeba ocierać się o ostateczną ciemność.

A może nie mieliśmy tylko odpowiednich uszu, aby usłyszeć kiedy nastąpiła rzeczywista apokalipsa? Bez błyskawic, huk i grzmotów, bez głosu gromu mocniejszego od przybijania siedmiu pieczęci ... i dźwięku gigantycznej trąby. Nawet bez szeptu.

W bialskim kościele św. Anny biją jednak dzwony. Rozkołysane, wywijające kielichami. Pełne wewnętrzne rytmy pląsają w metalowym tańcu. Czyste i jasne, konkretnie uderzają we mnie idącego Warszawską. Niosą trwożę. Odbijają się od murów Akademii Bialskiej. Jakby rozplywały się i gasły. W Parku Radziwiłłowskim pozostaje tylko cień dzwonięcia. W uszach i sercu. Przesłoni go ponura symfonia setek gawronów. Opada czarny puch z poderwanych do lotu skrzydeł. Tu też nie została przyłożona pieczęć.

Z rdzewiejących gwiazd posypał się rudy popiół. Wygasła pamięć.

Prywatna apokalipsa Nostradamusa nadeszła w 1566 r. Wtedy skończył szyfrować grozę. Teraz – słońce rozjarza się jak wzmocniona ogniem tarcza. Początek zaćmienia i większego niepokoju. Ucichły świerszcze, zwierzęta zapadły w odrętwienie. Światło zmatowiało, metaliczny poblask. Nadciąga gęsty półmrok, jakby w odcieniach ołowiu. Falują promienie, tasuje się światło z cieniem. Czekamy kiedy pojawi się sznur słonecznych pereł lub diamentowa kolia, która ukoronuje naszą gwiazdę. Ruszamy w pogoni za czarnym słońcem. Wita nas ... zaćmienie chmury. Spada deszcz. Przechodzi bez kataklizmu. Świat nie potknął się na księżycu. Jest we mnie gwiazda spadająca ... Bez asekuracji i koła ratunkowego. Smużka pyłu rozjarzonego w smolistej przepaści. Z tęsknoty za słonecznikami, tęczami i słońcem w pełnym blasku ognia. Niekiedy warto żyć nawet za ciepły promyk. Dopiero przez delikatny naskórek jutra czuję, że może nadejść niespodziewana zmiana ...

Po czwartku

Jak przebić się do świtu? Do pierwszego przeblysku po ognistej bruździe nad horyzontem? Do chwili, gdy płomienisty gronostaj skoczy do oczu. Tęsknota za świtem powraca jak fale niestrudzonego morza. Jak słoneczniki łakomie karmią się czystymi promieniami i niebem, tak i ja żyję z każdym oddechem słońca. Wtedy już rano patrzy na mnie nieśmiało.

Ostatnia tęcza rozbłysła jak rozpadający się szmaragd.

Choć przeszedł lipiec i sierpień, mroczny testament Nostradamusa nadal wieści nadejście z nieba wielkiego króla terroru. Nie został odwołany. Po zaćmieniu brakuje olśnienia. Coś cennego nam zaginęło. Jakby wiatr zwał ułożone w otwartej na tarasie szkatule wszystkie złote drobiny, jakby uniósł diamentowy pył? Co pozostało po pięknym czerwcowym czwartku na Podlasiu? Czy serce straciło swą pamięć? ... Czy wielkie zapomnienie zalało swymi falami także tamte chwile?

A jeszcze tak niedawno przeżywaliśmy każdą sekundę czekania. Nadzieję, rozkwitającą niby wielki słonecznik. - *Witaj Ojcie* - głosiły napisy. Witaj. Nie pojechałem. Nie byłem w tłumie krzyczących i śpiewających, wśród oczarowanych, pełnych tajemniczej energii. Żal.

Pielgrzym głosił wielką pochwałę podlaskiego krzyża. Jego życiodajnej mocy, Męczenników z Pratulina. Wzajemnej miłości. Miasto wtedy wymarło. Na klasztorze odświętnie lśnił portret, na budynkach łopotały flagi. Ulice były czyste i emanowały dziwnym światłem. Pokrzepieni nadzieją ludzie pojechali do Siedlec. Dialog tysięcy serc. Wielkie uniesienia. Piękny dar. Czas się dopełnił. Niebo w duszy. Radość, która przepełniła ulice, wylewała się, płynęła miastem.

W oczach dobre lzy, promiennosc. Wzruszenie, gdy objawia się tak szeroko dobro. Serce wzlatuje. Wydawało się, że w pamięci nic się nie zacierza. Wielu zapomniało. Czy świeżosc ducha niekiedy szybciej przemija od obłoków? Jak odzyskać ślady tamtych dni opromienionych czerwcem.

*Po piątku**Skażeni goryczą.*

Tutaj na Podlasiu gorycz jest większa niż jezioro octu. Smutek bardziej głęboki niż przepastna topiel Bugu, zawiść gorsza od koszmaru. Cierpka jest nasza ziemia piołunu, pokrzyw, octu, musztardy, odartych ze śmigieł wiatraków, Gnojna, Bubli, Mokran, ruin i smutnych ognisk. Po świetnej przeszłości pozostały tylko tajemnicze pojedyncze kamienie i zapiski historyków.

Kataklizm na razie nie dotknął wszystkich. Cierpienie i udręka trwa. Los bywa okrutny i pełen klęski. Życie jednak trzeba. Bez cienia radości czekają nas ułomne kalekie dni. Chociaż skażeni apokalipsą, w krzywych, wykupionych z lombardu widnokręgach, patrzemy w niebo pełni nadziei.

Na krótko świat miał większy wymiar, prawdziwą świeżość i barwy. Jakże radosne było odczucie rzeczywistości, życia, jego intensywności, jakbyś odzyskał utracony eliksir? Przywrócenie z końca świata i zaćmienia pozostaliśmy jednak zagubieni, ograbieni z niedawnych przeżyć. Odleciało przelotne ludzkie szczęście. Kiedy tylko mamy je na końcu języka, im bardziej smakujemy, tym rośnie większy głód. Czy widzisz ile bólu w świecie? Jak mnoży się zło i cierpienie?

Tak, jak we śnie czuleś, że nagle pojawia się Matka Boska. Tak, to Ona. Otwiera ramiona. Im bliżej jesteś Niej, tym bardziej odczuwasz kojącą bliskość. Narasta dziwna bezgraniczna radość i uspokojenie. Wtedy przychodzi jawa. Dopiero kiedy płaczesz, gdy

czujesz rękę Boga, Jego dobro - rozumiesz, że gdy dzieje się zło, nie można milczeć.

Codzienna apokalipsa nad dolną Krzną.

Często o zmroku wzięlbym świat w ramiona i szeptał gwiazdom do ucha co czuje człowiek w pełni życia. Wodospady żył przyspieszają. Serce delikatnie puka do żeber. Dobrze jest kochać życie, chociażby za jego ulotność, za cień uśmiechu w kąciuku umiłowanych ust, zetknięcie bliskich rąk. Krew łomocze do krwi. Wtedy dobrze wyciszyć siebie i słuchać jak mówi rozpozgodzony Bug.

Po sobocie

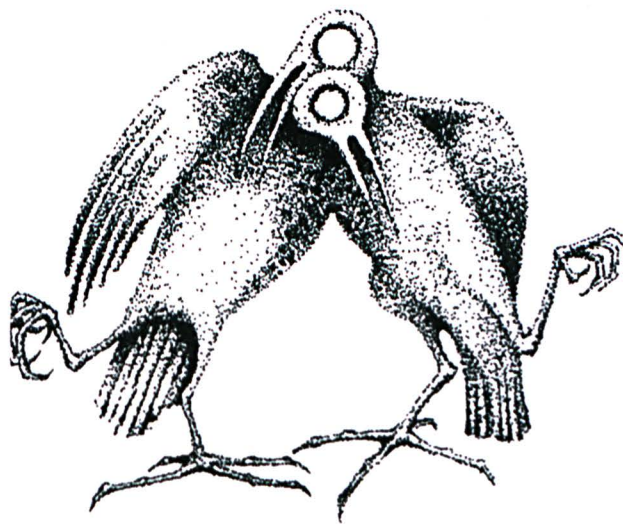
A może apokalipsa już się zaczęła, trwa, choć nie zauważona przez tłumy, przebiega etapami rozciągniętymi w czasie, jak w spowolnionym śnie. Niebo wydaje się otwarte jak nigdy wcześniej. Po sadzie pełnym czerwonych jabłek biegnie biały koń. Nie jest jednak apokaliptyczny. Słuchać ciężkie kopyta i grad zrzuconych owoców. A może zostaliśmy ponownie strąceni na ziemię. A może jest to już nowe niebo i nowa ziemia? Trudno uwierzyć, że nie będzie już smutku, narzekania i cierpienia. Ogień musi się wypalić do końca, woda wyschnąć do ostatniej kropli. Nienawiść spopielić, gniew uciszyć, radość wyśmiać, płacz wyszlochać.

A może nie było gigantycznej katastrofy, a tylko wielki początek, który wydarzył się w czerwcu, lecz słabo odświeżeni, zakurzeni codziennym pyłem, zapomnieliśmy o tym wielkim wydarzeniu? Tak tu cicho.

Z notatek eMPi - ego:

*była, co nie grzech, blondynką
wiaterek dostał kręćka
żywa nitka Krzny
pod kroplówką pragnień
kolekcja diamentów rosy
rzeki tu płyną leniwie
oczy wessane w ekrany
mistrz dodawania dziegciu.
czas kąsa po łydkach
uda kończące się pod chmurami
trzymielojad (*Pernis apivorus*)
- ptak szponiasty*

Z Biura Śledczego mig-a !!!



igraszki

Bug zaczajony w skoku

Napina się łuk Bugu nad naszym Podlasiem. Jak wąż nasycony połkniętą ofiarą. Jak kocur żądny pieszczoty. Unosi sierść zarośli. Pomrukuje szybkim bulgotem. I mruga swoim wielkim okiem. Podstępny, czai się do skoku w bużyska. Przebiegły, wpatruje się w dolinę, w którą napęczniały przyborem może runąć jak najeżdźca. Szepcze swoje dziwne zaklęcia. Nieprzenikniony. Rozpędzony ... z ukraińskim zaśpiewem.

Czarny huragan dzwonu

W bramie kościoła św. Anny huragan dzwonu. Łomot pędzi po mieście. Ciężki jak Radziwiłłowski los. Spada basowym echem na białczan. W świątyni znów budzi się serce Radziwiłła - w posrebrzanej puszczy wotywniej. Przerwało wielowieczną spowiedź za konfesyjonałem. Przeniesione na ścianę czeka na odsłonięcie martwej tajemnicy, która nigdy nie zostanie odkryta. Gdzie dusza księcia Mikołaja? ... Ponad pękate kasztany wlatują czarne orły. Są coraz bliżej „Sierotki”. Ponad mauzoleum Radziwiłłowskim. To stada czarnej nocy nadlatują.

Bialskie urzeczenia

Nad pomnikiem Kraszewskiego, ponad dachami liceum, księżyc się zatoczył. Niemal zderzył się z chmurą. Zaślepiiony nie mógł patrzeć na oczy. Pijany? Gwia-

zdy też lecą na łeb, na szyję. Też pewnie po balandze. Cały świat kołysze się na bani. Nawet kasztany pod kościołem wydają się zamroczone. Napłyły się mgły. Brodziły w białym oceanie, który lekko laskotały reflektory. Mgielne płaszcze otuliły iluminację, aż przycisnęła jak małe ognisko. Zaraz białą tyralierę rozpędzi łomot dzwonów, lawina dźwięków od św. Anny. Taki huragan dźwięku trwoży nawet czyste serca.

Husaria naszego wieku

Z ciężkimi ołowianymi skrzydłami, z kamiennymi butami wrośniętymi w asfalt, przygotowuje się do boju nasza Husaria Współczesna. Jakby zamroczone, jakby w beton wbite. Słychać pojedyncze okrzyki kibiców. Gasną jak zalane wodą. Marny doping, z dużą anemią. Będzie szturm, czy nie? A może nie? Gdzież ma pędzić kawaleria, skoro ledwie siania się na nogach? A cienie wierzchowców już nikogo nie uniosą. Najgorzej, że zepsuł się GPS. Bez nawigacji husaria już nie pojedzie. Mapy szlag trafił. Skrzydła opadły, broje straciły blask. Realisci namawiają do zawieszenia broni i długich negocjacji. Wygrywa realpolitik. Pozostało długie gadu-gadu na laptopie. Internauci szukają alibi za oceanem. Zupełnie na marginesie lepszej historii. Ktoś później jeszcze raz poceruje poszarpane lotki w skrzydłach, ktoś poskleja klejem roślinnym słynne kopie, a właściwie tylko ich imitacje. Husaria jednak nadal wierzy w siłę marketingu. Przed kamerą wystarczą dobre zbliżenia i uśmiechy. Uśmiechy, a jakże, zwycięstwa.

Pisarz z odkrytą głową

Kraszewski na to wszystko gwizdże. Na wiek przyrośnięty do swojej ławeczki siedzi sobie spokojnie i medytuje. Noga założona na nogę. Na Placu Wolności. Fontanna sika. Krzewy szumią. Pisarz zerka na lumpów, co zbierają grosze na płyn alkoholopodobny. Ukradną? Nie ukradną? A dlaczego pan Kraszewski bez czapki? Tak późną jesienią i zimą? Nie bołą skronie? A zatoki? Przecież łatwo o przeziębienie ... i zwolnienie gotowe! Może znajdzie się jakiś fundusz na nakrycie dla pisarza? Może Koło Białczan kupi kapelusz? Przecież pan musi tu siedzieć! Turyści szukają, aparaty cyfrowe do pstrykania gotowe.

Gniewie mój (poemat)

Gniewie mój podstępny. Przychodzący znienacka jak włamywacz. Wdzierasz się w mgnieniu oka. Na jedno słowo. Na obrazę. Na drwinę. Na krzywdę. Na podłość i obłudę. I słuszny na niesprawiedliwość. I twardy na podłość. I potrzebny na krzywdę. W oceanie szyderstwa porywasz. Tniesz. Piorunujesz. Oślepiasz. Gniewie jak ogień w niebotycznej łunie. Gniewie przekłety i niszczący. Jak zagłada. Gniewie bolesny, jak skurez sumienia i cierń w oku. Gniewie nie do pohamowania. Niby wściekły wilk kąszasz moje ciało i pamięć. Gniewie trujący i zachłanny. Znów płoniesz chmurą, która nie oczyszcza. Strącasz w otchłań bez opamiętania. Gniewie, który spopielasz i pochłaniasz. Jak wichur i pułapka. Jak wewnętrzne tornado. Który wciągasz w wir bez opamiętania. Jak grzęzawisko bez

odwrotu. Wsyzasz jak piątę bagno w rozpadlisku. Gniewie piekielny. Dlaczego unosisz i wleczesz bez opamiętania? Dlaczego niszczysz i nie opuszczasz nawet na chwilę? Dlaczego więzisz mózg i serce? Blokujesz pamięć i nadzieję. W twoim żarze spalam się po wielokroć. W nienasyconym ogniu. Zamknięty w irytacji. Z żądzą odwetu i walki. Z poczuciem krzywdy. W wielkim zapamiętaniu. Wrzący z irytacji. Z płomieniem na twarzy. Pochłonięty fatalną energią nienawiści. Płonę. Nie do ugaszenia. Nie do zdławienia. Gniewie fatalny, nie do zdarcia. Który wywołujesz krzyk. Który unosisz do szaleństwa. Który porywasz ręce i całe ciało do skoku. Gniewie pełen wibracji. Twoje gorące tchnienie spopiela. Obezwładnia. Kąszasz mnie od środka. Zatrujesz. Gniewie nie do pogodzenia. Nie do wyciszenia. Szalony jak atak furii. Niszczący bez końca. Gniewie aż do wściekłości. Spalany w gniewie. Sam w sobie. Furia!

Tajemnice uroczyska

Przy Białym Dworku w Zaborku taniec malw i dostojników. Licytacja elegancji. Strojne i wiotkie kwiaty zaglądają do okien. Niedyskrecja dla oczu. Staw zasłania się rzęsą jak tajemnicą. Wiatrak przesłania oczy śmigami.

Niebo bogate

Pomimo, że nasze piaski ubogie i skąpe jak macocha, to nad nimi bogate niebo. Chociaż bez lazurów, ma jednak skarby nieprzebrane. W obłokach mkną ko-

ścioly strzeliste i majestatyczne. A obok nich ogniste rydwany, większe od osiedla. Wszystko w pastelowych barwach, w które wdziera się zamszysty wiatr. Ostatniego lata nad wieżą kościoła zastygł księżyc, cały ze szczerzego ruskiego złota. Żaden tombak. Wpatrzony zazdrośnie w jeszcze jaśniejsze słońce usunął się w cień topoli za Leszczynową. Nad obłokami hen przesuwa się kościoła cień.

Co woda pochłania

Kiedy przychodzi huragan, w Bug wstępują okrutne siły. Jak car i władca pragnie daniny. Z siłą rumaka gotowy jest runąć. Zazdrosny o piękno arabów uderza ciemnym łbem o zieloną skarpe przy pastwisku. Przygotowuje się do cięcia łągu dębowego i okrażenia go dwoma nurtami. Wyspa to pewny łup. Takiego bandyty żadnym batem nie osmagasz, w betonowe dyby go nie zakujesz, mostami nie spętasz.

Dewaluacja starego kalendarza

Po ... (mylił) się nam kalendarz. Plany na bieżący rok opracowujemy przy końcu lutego, a budowlani kończą każdy poprzedni miesiąc 5. dnia następnego miesiąca. Przyroda nawet zgłupiała do reszty. W zimie u państwa Gucwińskich tygrysy domagały się spacerów; zwierzęta rozpoczęły zaloty daleko przed terminem. Nic, tylko niedługo będzie trzeba przejść na kalendarz dziesiętny, mierzony przy użyciu komputera zharmonizowanego z fazami księżyca.

O dalszy rozkwit

W związku z niedostateczną koordynacją pracy wielu komisji, powołanych do rozwiązania szczegółowych i węzłowych problemów, niniejszym uprzejmie proszę o powołanie specjalnych superkomisji do spraw rozbudowy produkcji i dalszego rozwoju zespołów. Tylko rozkwit struktur komisyjnych gwarantuje dalsze pogłębianie naszych procesów. Z góry uprzejmie dziękuję.

Łączę wyrazy poważania. MP.

Dolarku kochany!

Przyjdź do nas rannym świtem, albo już o zmierzchu, gęstym jak buraczana marmolada. Zieloniutki, najpiękniejszy, uratuj nas od siermięgi tego skansenu, który, psia raz, pustoszeje i straszy wiatrem wyjąłym w szczerbach dziurawego płotu. Twarda walutko, wybaw nas od smutku osieroconych pragnień, przenieszonego brzemienia, bidy uwierającej w oko, ucho i rozum. Waszyngtonku najzłotszy, daj nam superelegancję, zrównoważenie i spokój sytego ducha, jako dajesz tamtym, którzy nigdy nie zaznali nawet pragnienia i łaknienia szczęścia. Dewizo najszlachetniejsza – otwórz sezam technikolorowego świata, kolumbii pikszers, rozmach, otocz ... i w pełną otwartą gębę ładuj hamburgery i inne cudowności ziemi na nowo obiecanej. Bądź nam w portfelu, wypełnij Konto. Zaszczęć mnie, spuść delikatny szelest do portfela.

Cwane Podlasie

Niby nic, przykucnęło Podlasie, skuliło się pod brzoškami, zawieruszyło w kartofliskach, pomiędzy żytami

przedziera się do dobrobytu, z własną kamienicą wysadzaną fajansami i zdobioną sztucznymi astringentami, a popiskuje z cicha, przytupuje nieśmiało i nastawia ucha, aby wyczuć jak z każdej strony wieje prawdziwy wiatr. Umorusane to nasze Podlasie, pomiędzy miedzami kombinuje jakby tu wyjść na swoje, przyciągnąć przystanek pod własną chałupę. Bo i nie głupie ono. Paradnie jedzie w wysmakowanej bryce środkiem gościńca do nowego kościoła, a rozgląda się jakby chciało oczy pogubić w łożach i piasku oraz zanurzyć i przemyć je w Bugu - ciągle dzikie i nieskore do tanich przyjaźni, takie cwane.

Dyrygent

W istocie dyrygent jest tylko zamaskowanym gołębiarzem. Co pewien czas wymachuje ramionami, aby zerwać stado do lotu. Co chwila słychać wzniecony łopot. W powiewach wiatru wibrują skrzydła. Spada miękki puch, który jak balsam okleja uszy. Pozbawiony muzyków i wyprowadzony poza budynek dyrygent zdaje się kierować jednokierunkową ulicą obłoków. Wyzwolone od sterowania chmury tylko udają, że zważają na batutę. Wypuszczają deszcz, aby bidulek nie marzył o bisowaniu.

Słodziutka herbatka

Kiedys dziadkowie żyli pełną piersią, przestrzenią, obłokiem i przelotem dzikiego ptaka. Teraz namiastkę tamtych przeżyć przynosi serial. Kolejny odcinek ze

starymi bohaterami, punktem kulminacyjnym i listą wysłużonych aktorów. W rolach głównych namiastka miłości, podłość i kilka zgonów. Do tego między chijskimi wielką radość z ożenku głównej bohaterki. Na happy end romans, zdrada, podłość i pijemy słodziutką herbatkę. Coraz bardziej mdłą.

W Tobie nadzieja

Szanowny Niezidentyfikowany Obieckie Latający !!!
Z wielkim uznaniem odnosimy się do Twoich przyłotów oraz do sygnałów odebranych w Wenezueli, USA i Rosji. Myślimy jednak, że najwięcej mógłbyś uczynić dla dobra naszego narodu, cierpiącego lub płacącego za innych i pragnącego jeszcze jednego funduszu. Wyciągamy więc do Ciebie Kochane UFO prośbą dłoń i zwracamy się o to, żebyśmy wreszcie wyszli na swoje. Złoto dla Ciebie to pestka, platyna jeszcze bardziej. Skoro wszystko potrafisz, ulituj się nad nami Umiłowany Obieckie, i pozwól aby nigdy nam nie zbywało naszej narodowej godności, ziemi, kandydatów na prezydenta i swoich inwestorów. Sypnij nam też codziennym luksusem, bo tylko Ty UFO potrafisz, bez warunków wstępnych, odpowiednich wniosków, biznesplanu i pogroźek, z dobrego niezidentyfikowanego serca użyzyć Manny Dobrobytu XXI wieku.

Przecież już od wielu dziesiątków lat liczymy na to, że doczekamy się czegoś zupełnie nowego. Poza tym, Szanowny Obieckie, prosimy, abyś wyjaśnił nam o co w tym wszystkim chodzi, skoro lewica jest pra-

wicą, a prawica pogubiła lica, komunista został kapitalistą, a multimilioner głosuje za równością, zaś po naszej jezdni jednokierunkowej odbywa się ruch o wielu zwrotach. Czy to normalna schizofrenia narodowa, czy też ozdrowienie dewianta? A może łaskawie wyjaśnisz nam nierozszyfrowalne UFO, kto teraz zapłaci za dziesięciolecia niebezpiecznych eksperymentów, zazwyczaj zagrażających życiu. I czy znowu będą nowe przywileje dla jeszcze lepszej elity? Umiłowane UFO, my też mamy prawo na Ciebie liczyć, skoro uznajesz sprawiedliwość wszechświatową i logikę jak cięcie lasera. Zamień nam obietnicę lepszego jutra na znośne dzisiaj, bez drakońskiego darwinizmu i swobodnych praw buszu.

A jak już nie możesz nic zrzucić, to weź nas w umiłowane macki i unieś w tamten świat, gdzie ludzie nie wyją na ludzi, a szczęście nie jest podejrzaną łapówką i ochłapem od cynicznego losu. Możemy Ciebie UFO przyjąć też do honorowego grona najlepszych Polaków.

Za Społeczny Komitet Przywitania UFO
(*takie małe ORMÓ kosmiczne, parafka
obcej osoby*) – podpis nieczytelny.

W szczycie

... i wtedy uderzyłem ręką w kamień, aż zwinął się w skurczu, poczerwieniał, zawirował i zaskowyczał. Na głównej alei naszego miasta mruczał wielopiętrowy kot ulicy. Tak to zawsze bywa w godzinach szczytu. Autobusy wydawały się przeciągać jak leniwe dra-

piezniki. Obok, na placu im. Najjaśniejszej Naszej Przczystej, budowaliśmy ręce wyciągnięte do nieba, z pękającymi od oczekiwania nabrzmiałymi żyłami. Duch naszych czasów ominął jednak to miejsce. Grąsował na wielkich mitingach. Aż nagle przyszła mgła. Była potężnym łabędziem, obejmującym nas wszystkich niby mokrym puchem. Wydawało się, że to ptaszysko pogwizduje cichym wiatrem zaplątanym w drutach. Była to znana melodia Johanna Sebastiana Bacha. Świat znowu stawał się monumentalny

Serce na GPS

Drży koniuszek serca. Za pazuchą skacze jak mały zajączek najbliższa ojczyzna. Umorusana, zapyziała, zagilona i podrapana krzakami. Ale z uśmiechniętym pyskiem. Swojska jak pęto jałowcówki. Grzeje niby ciepły piecyk. – Kocham! Cokolwiek! Kogokolwiek! Aby tylko nie gasić uczucia! – wiatr mile szepcze do ucha. Radosna dusza wtedy fika koziółka. Wystarczy taki okruszek pokrzepienia, aby wyjść w samo południe na najnowszy western życia.

Iluminacja z czarnym progiem

Najtrudniej było przedrzeć się przez Las Czarnych Progów. Nawet GPS zawodził. Bo coś tajemniczego zagłuszało nawigację w gąszczu, który nabierał ciemności i gęstości. Jak stygnąca smoła. Kiedy wydawało się, że przekroczyliśmy czarny próg, ciągle on przesuwiał się od nas na bezpieczną odległość. Jak szczwa-

ny lis lub czyhający wilk. Nie pomagała nawet nadzieja, porywająca duszę do skoku w optymistyczną perspektywę. Co dodawało skrzydeł duszy? Co podrywało serce do trójaskoku radości? Tylko iluminacja, która pozwalała się przekonać, że próg był we mnie. Czarny, smolisty, dobrze wydeptany.

Wcale nie ślepy los

Mogła być to iskra uśpiona w wodzie, albo dziurawe skrzydła na szczytach chmur. Być może zapis wiatru na pięciolinii wysokiego napięcia. Skryta była droga dojścia. Zamaskowana gąszczem mirabelek albo strzelistymi neogotykami cyprysów. Nikt nie miał zielonego pojęcia jak trafić na właściwy klucz do Wielkiej Sztuki Paradoksu. Z duszą na ramieniu, albo nawet na karku, ludziska próbowali wspiąć się ciut wyżej niż ich własny cień. Nadal pędzą w pogoni za cudem, który może się trafić tylko wybrancom wcale nie ślepego losu.

Potokom żywo porywającym

Jak rozpala się w nas żar? Jak odzyskujemy ogień? Jak przenika nas żal? Jak skutecznie ostudzić gniew? Pytania falują bez odpowiedzi, kiedy porywa nas potok, rwący jak żywa woda. Pomyka. Omywa, splukuje oraz ponosi. Obraca, wynosi i mknie, niesie wśród drzew. Gdy porywa nas wodospad coraz szybszych sekund, łatwo wpadamy w wir, muliste bagno. A pod nogami trzęsie się zarywająca mada. I na co pęd, skoro nadchodzi zagłada? Ucieczka nas przenika. Mknie-

my, gdzie kres. Bez odpowiedzi gdzie to jest i jacy my? Czy zdani na ciągły wir? Czy też na pogoni zew?

Przełom z goryczką

Przeминаł z wiatrem dawny świat – pełen cukierników-amatorów, którzy wytwarzali potoki lukru. Niczym kamfora zniknęli wazeliniarze ze swoim smarem, doskonałym na odciski przełożonych. Do lasów wycofali się bartnicy, z hektolitrami krzepiącego miodu. Na zawsze zabrakło nawet ptasiego mleka. Strajk dojnych jaskółek był bardzo dokuczliwy.

Nowe czasy przyniosły nowe tendencje. Ostatnio zdumiewająco szybko wzrasta produkcja goryczy. W wielu firmach zakładane są plantacje piołunu. Na pospiesznych kursach zdobywają dyplomy mistrzowie maskowania dziegiu. Ponurzy meteorolodzy zaś zapowiadają ciągle zachmurzenie, przechodzące w opady. Horror jest coraz lepszym towarem. A wiatr historii wieje nam wszystkim w oczy. Czy nie warto poprawić suplement do terażniejszości?

Pogłębiany demokrację

W zbiorowej izolatce powtórka z demokracji. Szaleństwo przychodzi łatwiej niż porcja salcesonu. Nucimy więc pieśni i krzyczymy o wolności. Pieścimy nowy symbol do rozdrapywania narodowych ran. Obywatel Konrad P. obwołuje się senatorem, wyrывa kaktus z doniczką i wymachuje jak buławą. Demokratycznie i jednogłośnie go popieramy, choćby za garść żółtych drażetek. Pogłębiany demokrację!!!

Pokochajmy polski paradoks

Kiedy w naszych czasach zapanowało czarnowidztwo, kryzys gospodarczy i moralny, znalazły się jednak gałęzie, które wspaniale rozkwitły i przynosiły wspaniałe owoce. Właśnie w tak trudnych czasach wielu skromnym i ambitnym ludziom udawało się krzewienie paradoksów. W tej dziedzinie dynamika była imponująca, systematycznie rosła wydajność. Kierunek zatem był słuszny. Twórcy absurdów nie zostali jednak należycie uhonorowani. Zabrakło docenienia ich trudów. Występuję więc z wnioskiem, aby wreszcie założyć złotą księgę naszych paradoksów. Proponuję koniecznie nagrodzić naszych mistrzów absurdu i ustanowić nowe odznaczenie – „Zasłużony dla Krzewienia Polskich Paradoksów”. Tych osób i wartości nie możemy pominąć. Dziękuję za skuteczne ustosunkowanie się do mojej sprawy.

Ktokolwiek wie

Szanowni! Wszystkim wam z oczu dobrze patrzy, towarzystwo przecież kulturalne, owszem, z telewizją obyte, seriale też ogląda, bogobojne, a jakże, wszak przeważająca większość to wierzący, kiedy było trzeba. Ale kochani rodacy, muszę wam to szczerze powiedzieć, ktoś rąbnął nam róg obfitości. Z moralnością u nas nie tego, prawdę mówiąc zawsze były z nią kłopoty. Musicie zatem znaleźć tę czarną owcę, która nam zwędziła od dawna obiecany róg obfitości i sama niepohamowana sobie używa. Szukajcie! Ktokolwiek wie.

Zastrzeżenie

Uprzejmie donoszę, że u nas dzieje się Sodoma, Gomora i Liberalizm. Znowu forsa górą, cwaniak panem, a spekulant dobroczyńcą. Do czego to doszło?! I komu służy to wszystko, gdy cnotą stał się marketing? A gdzie kręgosłup moralny, przemiany systemowe i oddanie sprawie? To po co śpiewaliśmy tyle wzniosłych pieśni i wierzyliśmy w sens, nawet głęboki? Uprzejmie donosząc o swoich nader poważnych wątpliwościach, proszę o pozytywne ustosunkowanie się do moich zastrzeżeń. Zawsze oddany, Wasz Życzliwy. Spisałem się nieźle.

Zdradziecka topiel

Bug jest bardziej zmienny od przewrotnej kobiety. Jednego dnia pieszczotliwie pluszcze, leniwie przeciąga się od lewego do prawego brzegu, a już nazajutrz zaczyna huczeć, rozpędza się i pluje spienionymi falami po zaroślach, rozpycha się na pola i łąki, a także zagłębia w okna domostw. Dziki i zaborczy sam rzeźbi dno i układa sobie koryto. Pan i władca doliny. Pożera piaszczyste urwiska i pochłania coraz to nowe fragmenty brzegu. Wydaje się wtedy, że słyhać jego zwycięski chichot. Co pewien czas zaczają się na ludzi pragnących kąpieli. Niedaleko brzegu ma przykosa, głębokie rowy z piaszczystymi, osuwającymi się zboczami i gwałtownymi wirami. Czeka ... kiedy wbiegasz do Bugu jak rozbrysony szczeniak, rozpryskujesz drobiny wody, w której perli się, mieni i przekształca w żywy diament słońce. Tracisz pamięć

o drzemiącej bestii. Wystarczy, że dziewczynka idzie za spychaną na środek rzeki piłką, wydaje się, że wystarczy tylko sięgnąć ręką. A nagle wciąga ją wodnista przepaść. Na ratunek śpieszy brat, który też znika w odmętach. Podobnie giną matka i ojciec, a także sąsiad. Minutę później bezradnie wokół rzeki biegają ludzie. Słuchać przeraźliwy krzyk bezradnych, jak głos wołającego na puszczy. Bug wtedy pochłania. Nie oddaje szybko ciała. Musi się nasycić swoją wygraną. Dopiero nazajutrz, lub w następne dni, za dwoma zakolami, w innej wsi, wyrzuca na fale swoją ofiarę. Bywają dni, że wielki smutek przed sobą toczy Bug. Wiatr złowieszczo gwizdże mu ponurą melodię. Bura woda odpycha.

Janowski pojedynek

A w Janowie Podlaskim pojedynek jak we wschodnim westernie. W cieniu mocarnych krępych dębów pojawił się pełen wigoru gniady ogier, który zastyl w bezruchu, niby najpiękniejsza rzeźba araba. Wyprostowana szyja, godna najwspanialszego łabędzia, rozchylone i pulsujące chrapy, uniesiony w palmę ogon oraz drgające nogi. Wszystko zdawało się być żywą reklamą życia. Zazdrosny o piękno Bug tego nie ścierpiał. Oburzony na konkurencję konia przyspieszył i z całą mocą uderzył o pobliski brzeg, aż potężny odgłos kłasnienia wody odbił się od kolumny nadrzecznych drzew i niespodziewanym odgłosem przeraził ogiera.

Czarujące zwierzę wysoko uniosło uszy zastrzygło nimi niby żyłkami i z parsknięciem ruszyło do ucieczki ... Była to istna orgia kopyt ponad soczystą trawą,

rozwianej grzywy i strzelających na boki oczu. Galopował także Bug, który uderzał o nadwątlone brzegi, jakby chciał przebić się do starorzecza i odciąć od Polski spory fragment Łęgu Dębowego. Na razie bezsilny umykał pomiędzy okalające go z dwóch stron wzgórze, gęsto oszronione dorodnymi sosnami. Kiedy się rozpędził, poderwał olbrzymią woalkę kropel i kołbierzec żywicznych zapachów z sąsiedniego lasu, wpadał do kurortu Serpelic, gdzie rozkwitł w pełnej krasie pośród tarasów zieleni i iglaków.

Kiedy płyniesz tam kajakiem i przy szybkim nurcie odpychasz się wiosłami od spotkanej wody, ona jednak płynie z tobą i nawet wyprzedza, zderza się z nadchodzącą. Czas na Bugu rozszczepia się na tysiące fragmencików, jak rozbite o skalisty brzeg krople. Spójrz, jak w bzach usypia Podlasie. Cicho. Sza! Dwa świerszcze i coś jeszcze.

Ślepe rondo życia

Za siedmioma tysiącami supermarketów i za siedmioma tysiącami fotoradarów, tam, gdzie już były skasowane wszystkie bajki, a skacowani ojcowie opowiadali zwykle historie mrozące krew w żyłach, szalała ślepa demokracja. Wystarczyło nie być rasistą, przeciwzyć mięsień uśmiechu i człowiek mógł być w siódmym, a nawet w siedemdziesiątym siódmym niebie. Nawet nie zorientowaliśmy się, że gigantyczne ślepe rondo życia schwycało nas w pułapkę. Krążyliśmy jak oszalałe ćmy wokół lampy. Szaleńcy próbowali nawet popisów kaskaderskich. Co chwila z peletonu spadał maruder, który już na piechotę przechodził do historii.

Był zasysany w dobrze zamaskowanym ślimaku postępu; spirala niosła nas w górę. Nasz mały świat jednak dalej chybotał się, jak krzeselko na zepsutej karuzeli. Grał na chybił-trafił w gigantyczny przypadek.

Bór na przesmyku snu

Biały bór, przykry jak koszmar o północy. On nas porasta. Biały niewidzialny bór. Biały od ziemi do chmur. Ciągnie się jak urojona mgła. W bladym blasku próchna. Jakby dusiła nas prywatna dusza. Własna ćma. Biały bór, z wielką panoramą nieba. I strzępem chmury podartej o boru wierzchołki. A w duszy borów może nawet sto. Biało tu. Wszędzie biały bór.

Demaskacja ognia

Ogień ma twarz demona. Tylko dystans pozwala zobaczyć jego prawdziwy wyraz. W ułamku sekundy zdradza mordercze oblicze. Nie widziałeś jak zakwita luna? Jest niemierzalna. Wymiary ognia są nie do uchwycenia. Płomieni nie ogarniesz, jak i całokształtu i głębi ognia. Jak wody w dzikiej rzece. Żarłoczny żywioł atakuje znieca.

Nie patrz w oczy ognia! Zapadają się w swojej głębi. Spopielają. Emanują zabójczy żar. Później dopiero przypomina je cisza na pogorzeli. Ciężka do udźwignięcia. Jak martwy żar.

Bajeczki z tamtej beczki

Bajka o maśle, które znalazło się pod ladą

Był to czas, kiedy niewidoczny tajfun wywiał wszystko ze sklepów, jak najbardziej jeszcze socjalistycznych. Półki były czyste i schludne. Nawet kościelna mysz by się tam nie pożywiła. Klient zwany natrętem biegał od sklepu do sklepu poszukując cienia nadziei. Był właściwie myśliwym polującym na cokolwiek. Skrzypiące drzwi sklepu piszczały jak wielka bida. W środku pulchne jak dwie drożdżówki sprzedawczynie akurat wymieniały się nawzajem nudą. Kiedy mnie zobaczyły, ożywiły się, jakby na widok kogoś od dawna wyczekiwanego.

Dzień dobry panie doktorze. Jak dobrze, że pan przyszedł. Mamy świeże maselko. Śmietankowe! – zaświerkotała starsza. Próbowałem jej przerwać, ale nie mogłem wcisnąć ani słowa w szczelne korale jej wielosłowa. *Ale - przerwałem. Ale - jeszcze raz. Ale ja nie jestem doktorem -* wyjąkałem z siebie słowa, które prawdopodobnie dotarły w wersji szczątkowej do kierowniczkii sklepu spożywczego. Nie usłyszała, albo nie chciała słuchać. Z uśmiechem na rumianej buzi szefowa pędziła do lodówki i po kilku błyskawicznych ruchach wrzuciła w szary papier dwie kostki maślanej poezji tamtych czasów. *Ależ -* tym razem wzbogaciłem repertuar protestu. *Ja nie jestem -* jak papuga kłapałem dziobem. *Dobrze, dobrze, panie doktorze, niech pan nie protestuje. Ja przyjdę do pana z szósteczką za tydzień -* kierowniczkii nie owijała

w bawelnę. Zorientowałem się, że traktowała mnie jak stomatologa, który był nieco podobny do mojej nader skromnej osoby.

Podala pakiecik i z moich zdrętwiałych paluchów wyciągnęła banknot. *Bardzo dziękuję, ale nie jestem* – nadal bardzo delikatnie protestowałem. No cóż, obie sprzedawczynie wzięły mnie za dentystę. Nie dały szans na protest i sprostowanie.

Skloniłem się nisko w podziękowaniu, i zarazem pożegnaniu. I to był prawie koniec maślanej bajki. Maselko było wyborne. Z wieloma witaminkami, błogim zapachem i unikatową w tamtych czasach wartością. A zmarłemu niebawem od tego wydarzenia dentyście, który był bardzo podobny do mnie, niech świątliwość wiekuista przyświeca.

Bajka o sekretarzu, co strzelał do karpia

Wcale nie za siódmą rzeką i nie za żadną górą, ale było to na Podlasiu, płaskim jak wszystkie naleśniki. Kawalek podlaskiego lasu był ogrodzony wysoką palisadą. Na basztach siedzieli skośnoocy strażnicy, których miejscowy lud bardzo się bał, bo ze ślepiów nie mógł nic wyczytać. W weekendy pojawiała się tam elita z warszawki, województwa i okolicznych gmin. Ozdobą towarzystwa stawał się wtedy sekretarz, który zazwyczaj bywał uśmiechnięty, jak dobrze wypasiony księżyc w pełni.

Pewnego razu, kiedy właśnie rozanielona po do-
brze zmrożonej rosyjskiej wódce znana powszechnie Maryla biegała wśród danieli, ponoć naga, jak wieść bardzo gminna głosi, dostojnik popadł w chandrę.

Chwyliła go pijacka depresja. Jak nigdy dotąd. On, dusza towarzystwa, schował się na uboczu i poszedł nad jeden spośród kilku stawików. Popatrzył w swoje odbicie w wodzie, którą przebijały tłuste wargi karpia. Przeszedł go dreszcz.

Co ty na mnie tak patrzysz? Agencje chrzaniony! - z pretensją wybełkotał. *Wiem, że to ty jesteś agentem! Ty, tylko ty!* - ze wzgardą patrzył na kąsającego powietrze wodnego olbrzyma. *Ale ja ciebie załatwię! Znam się na takich! Na ciebie jest jedna metoda!*

Dawny towarzysz, a obecny pan sekretarz, wyciągnął z głębi ubrania niewielki pistolecik. Zmrużył jedno oko i szybkim ruchem przyłożył lufę do wielkookiego potwora rybnego. *Za bardzo mi jego przypominasz!* - warknął i pociągnął za spust.

Muahahahaha buahahahaha ehehehehe hahaha! - wydobył z siebie gromki rechot dziwnej satysfakcji. I jakby zauroczony rytuałem śmierci oddał kolejne strzały w stronę następnych karpich oczu. *Ja was wszystkich sukinsynów* - zbulgotał.

I nie było już żadnej bajki.

Szczęka komendanta (humoreska)

Tajne specjalnego znaczenia (podkreślić !!!) *Leszkowi Sokołowskiemu z Krzymoszyc ... co pod laskiem.*

Powiem wam to w tajemnicy. Gdy będą pytać, skąd wiecie, to ani mru mru. Historia została utajniona

z racji wiadomych. Nie można odsłonić tajemnicy komendanta. Co najmniej pół wieku. Cały garnizon trzyma język za zębami. Ważne, aby pismaki się nie do wiedziały.

Akurat witano naszego nowego szefa. Bankieciak w stajni zapowiadał się rozkosznie. Teraz to nie była żadna stajnia, ale istne чудо. Dzięki pomocy Wielkiego Rodaka Mariana na naszą prowincję popłynęły spore dotacje. Z dawnej dworskiej stajni powstał hotelik z restauracją, uchodzącą za godną specjalnych gości, nawet ze stolicy ... lub zachodnich krajów. Pełen wypas. Ale nie dla koni.

Tamże trafił komendant i znaczne grono lokalnych vipów. Bawili się na 102, a może nawet większą liczbę. Szczęście, ale nie wiekiuste, dawała tradycyjna regionalna beczułka z alkoholem. Tajemnicą poliszynela był znany miejscowy producent: *Swoje wiem, receptura prosta jak data bitwy pod Grunwaldem. Mundurowym nie powiem więcej* - tylko tyle ujawnił. A była to potrawa regionalna, już od czasów okupacji znana, a nawet przed nią. Moczarowcy jeszcze po wojnie przyjeżdżali z tajną misją nad Bug i Krznię, aby łyknąć ambrozji z czasów walecznej młodości.

Nasz komendant cieszył się ze swego awansu jak dziesięcioletni chłopiec, który na pierwszą komunię dostał quada. Choć szef był wygą nad wygami i z jednego pieca chleb jadł, to jednak popłynął. Dał się ponieść niezmiarkowanej radości. Chłopina czekał latami na awans. A tu nagle trafił mu się jak ślepej kurze ziarno. Z ładnymi wpłatami na konto. Hulaj dusza!

– *Pewnie znów bidulek nie zjadł śniadania* – zafrasowała się sekretarka o smolistym wzroku i udach kończących się pod chmurami.

– *Padł jak długi* – przyznał kierowca, którego myśli zagłuszała nieśmiertelna pieśń ludowa, jakiej nie zmiotą żadne wichry historii. *Szła dzieeeeeeweeeczka* – zawodziło towarzystwo. A komendant poszedł do ubikacji.

– *Znów nie domknął drzwi* – jęknęła pani Jola. Rzezywiście, słuchać było męki komisarza. *Potworne! Straszne* – cicho współczuła sekretarka.

Po pięciu minutach jak cień przyciągnął się do nas szef. Był blady, jak świeżo białkowana ściana. Trzymał się za usta, jakby się bał, że wypuści z nich potężnego węża. Odciągnął kierowcę Szczepana na bok. Coś wymachiwał rękoma, jak wiatrak nabierający wiatru w śmigła. *Kurde. Urwa-ł. – Urwał!* – wykrzykiwał kierowca. Wyraźnie był niezadowolony.

– *Szefowi wypadła do kibla szczęka* – bez ogródek wyłożył w końcu kawę na ławę.

– *Szczęka?* – nie dowierzała Iza z prewencji. Była, co nie grzech, blondynką.

– *Noooo, sztuczna!!!!* – warknął kierowca. Nie przepadał za blondynkami.

– *Cicho sza!!!!* – sekretarka przeraziła się, jakby została ujawniona strategiczna tajemnica.

Kierowca jak w ukropie zaczął biegać w poszukiwaniu kierownika i administratora budynku. Wreszcie ściągnął ich do łazienki. Przynosili jakieś długie szczotki i druty. Zbiegali do piwnicy ... i z powrotem ... na partner.

– *Nici. Urwa-! Nici!* – miotał się Szczepan, który zawsze uchodził za człeka opatrnościowego. Tym razem zadanie było piekielnie trudne. Administrator trząśł się z przejęcia. No bo cierpiał komendant ... i raziła bezsilność gospodarza!

– *Wodociągi! Wodociągi!* – zaproponował kierowca nowe rozwiązanie. Za kilkanaście minut pojawili się zaspiani, przedzierający się z trudem przez korytarz faceci ... w służbowych uniformach.

– *Kurde, jest głupia sytuacja. Naszemu szefowi wpadła do muszli sztuczna szczęka. Spuścił wodę. I teraz nie wiemy co zrobić. Panowie ratujcie!* – Szczepan rozłożył ręce.

– *Ale gdzie to złapiemy? Mission impossible* – rzucił tytułem filmu robotnik. Kinoman, ale niezbyt chętny do roboty.

Drugi na boku parskał śmiechem. Wreszcie się wyciszył. Trochę łzawił. *Coś popatrzymy. Mojemu szwagrowi też, jak się upił i rzy ... wymiotował* – błagalnie popatrzył na Izę – *też wypadła szczęka i wtedy akurat przyplątał się pies sąsiada i wyniósł ją w kartoflisko. Było to na wsi. Cała rodzina szukała pół nocy i następny dzień w kartoflach. Nie było śladu* – pokiwał współczująco głową.

A komendant siedział na parapecie. Twarz zasłaniał dwoma rękoma, jakby chciał zatrzymać drugą szczękę, aby mu nie odleciała. Wyraźnie brakowało nam życzliwego, promiennego uśmiechu szefunia. Umiał się śmiać, tak ładnie, jak bobasek.

Impreza rozlażiła się jak bibułka nasączona wodą. Goście już skrycie pochichotali, kiedy tylko dotarła do

nich wiadomość, a teraz, z poczuciem niezawinionej winy i niesmaku, czaili się, jakby tu urwać się z tragicomicznej fety.

– *Tu nic po nas* – robotnik z wodociągów ogłosił pełną kapitulację. Na boku warknął, że może zęby szczęki gdzieś zahaczyły na łączkach i nie da się kuć całej instalacji.

– *Kurde. Parszywa sytuacja. Jutro przyjeżdża wicekomendant z Lublina. Szef musi go powitać w progach naszej komendy. Ale mamy rozkosz!* – znów zajęczała sekretarka. Ona miała bolesną świadomość dramatu. Wtedy do akeji wkroczyła Iza, która zawsze miała genialne pomysły. Tak też było tym razem.

– *Dzwonię do znajomego stomatologa-protetyka. Złota rączka. Niech zarwie noc, ale musi przygotować nam szefa na jutrzejszą uroczystość* – postanowiła.

– *Dzisiaj? Przecież już po północy* – uprzytomnił Szczepan.

Słówko się rzekło. Iza ściągnęła dentystę do gabinetu. Zapakowaliśmy szefa do samochodu i za kilkanaście minut wepchnęliśmy na pół oprzytomniałego na fotel.

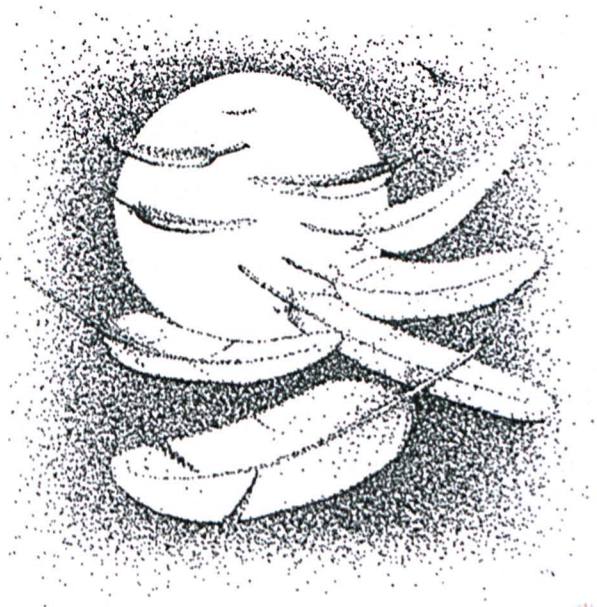
Pokorny był jak baranek. Chodziło o jego bezzębną cześć. Stomatologowi robota paliła się w rękach. Po serii prób nastąpiły przymiarki. Dociskanie i wyciąganie, poprawienie i przykładanie. Po kilku godzinach szefunio znów próbował się uśmiechnąć. Wychodziło prawie dobrze.

Z duszy eMPi - ego:

*Szeptę do siebie –
bo i jak nie kochać świata.
Najczulej, jak tylko pozwalają
wązki, gile i żonkile.
Za to, że istnieje. I tylko tyle.
Tylko sercem zagłuszamy
... huk świata.*

*Kocham! Cokolwiek! Kogokolwiek!
Aby tylko nie gasić uczucia!
– wiatr mile szeptuje do ucha.
Radosna dusza wtedy
fika koziołka.*

Z Biura Śledczego mig-a ???



nastroje

Wcale nie ostatni seans „Katynia”

Polakom z Brześcia

Polacy z Brześcia poplakują. W ciemności kina „Mercury” mówią tylko nosy. Cichym wniebogłosem - *oj Boże* - wrywa się siwowłosej Polce przybyłej z wiecznej krainy strachu. Po filmie wszystko zastyga. Ciężko przybici do foteli rodacy długo nie mogą podnieść oczu i pamięci. Może to tylko historyczny katar albo głuche łkanie w tchawicy. Już po wojnie zesłany na Sybir Antoni Filipczuk bierze symboliczne guziki jak relikwie. Po kilka na serce. Do wewnętrznej kieszeni. Historia zapięta na ostatni guzik. Polska ma smak mroźnego piołunu. I tęsknoty z ziemi wyklętej. Dalekiej od obiecaniej.

Oczy matki

Na naszym krańcu wszechświata, gdzie Podlasie skręca się z bólu pod próchniejącym krzyżem, tam na zawsze został stęskniony wzrok matki. Zastygł jak struna światła nad piaszczystym wzgórzem. Zza sękatych sztachet wypatruje dzieci, co odleciały jak stado wróbli. Na lepsze żerowiska. Puścuisieńko. Jak ciszą zasiał. W oczach czarna, bezdenna studnia. Dzieci nie wracają. Zanikła nawet smuga nadziei. Tak tu cicho o świcie, zmierzchu i o wieczności. Istne sanatorium pod Panem Bogiem. Nawet noc milczy z szacunkiem nad bezgraniczną tęsknotą matki. A ona oczami nadal trzyma się tylko gwiazd. W kapliczce swej cichej modlitwy ... tęskni na zawsze.

Ptakonoc

Zza olszyn nadlatuje ptakonoc. Zza granicznej rzeki nasuwa gigantyczny, coraz ciemniejszy, kaptur zmierzchu. Rozkłada nad nami wielkie zamaszyste skrzydła, jak czarny las. Muska wilgocią z żabiego rechotu i atlasu sowy puchatej. To nie tylko noc, to zapowiedź całunu. Bo każdy wieczór jest próbą zagadkowej śmierci. Małe preludium do wielkiej tajemnicy. Ptakonoc celuje w nas wielkim mrocznym dziobem. Gdzieś miga jego cień. Na szczęście znów nie trafia. Coś jednak tajemniczego pulsuje w czerni jeszcze nie absolutnej. Tasują się odcienie mroku. Czy tak bije włochate serce północy? Czy to tylko jak szpilka cienki pisk nietoperza? Dzięki Bogu, kolejny raz zapomniamy ciemną iluminację. Do czasu.

Podziękowanka:

1. Dzięki Panie

Za storczyka kruszczyka szerokolistnego, co z panem Jurkiem, już świętej pamięci, znaleźliśmy zupełnie blisko drogi. Za brzozę karłowatą i legendarne wały nad Bugiem. Za tajężę jednostronną wypatrzoną w gąszczu Podlaskiego Przełomu Bugu, gdzie człowiek musi się przełamać, aby wyjść na swoje. Dzięki Panie.

2. Dzięki Panie

Choć wiatr wygwizdał mą duszę, to jej nie wywiał. Nie odwrócił na wznak lub jej nie przewiał zupełnie.

Ani nie przekabacił na serialopodobny gadżet. Kod miłości pozostał. Nie do rozszyfrowania.

3. Dzięki o Panie

Że mózg i może dusza wybiera. Aby smak gniewu zamienić na poczucie dobra. Aby mieć pokorę chwili i obawę przed wyrokiem wieczności. Bo my tu tylko przelotem, jak stada jemiołuszek. Jak wróbelek z gałązki na gałązkę. A wydaje się, że pięćdziesiątka, to wieczność.

Pragnienie

Choćby promyczek ciepła. Lekkie lśnienie światłości. Technie gorąca. Przyjdź. Ogniem. Żarem. Płomieniem. Czulością. Wielkim pragnieniem uśmiechu. Miękkiego jak aksamit. Wonnego jak upojna bazylia. Zebrzę o ciepłko, jak o wymięty banknot. O życzliwe spojrzenie. O jeden rzut oka. Choćby ożywcze technie. Lekkie mrugnięcie powiek. O małe tak. O krzyne czulości. O okrucie nadziei. O muśnięcie policzka. O odrobinę człowieka. Przyjdź. Zaraniem świtu. Przedsmakiem zmierzchu. Z pragnieniem żaru.

Głód nadziei

Głód nadziei był olbrzymi. Wydawało się, że potrafi ona pochłonąć wszystkich. Wrodzone poczucie przyzwoitości nakazywało nam skromność. Doświadczenie poparzonych dziesiątki razy, ciągle szło to na marne. Jakby nie okazywało się, że ogień to nie forma

przejściowa lodu, ale bolesna rzeczywistość obecnej chwili. Za każdym razem jednak kusił jego czar, głębia żaru i pokusa przejścia płomieniami do przodu.

Czar Serpelic

Za Borsukami czara lasu i rzeki się otwiera. Niewidoczna aura opada z mocniejszym słońcem, prawdziwą rzeką i najbardziej leśną wonią. Inny świat nad tą samą rzeką co i w Gnojnie, a tak inną. Jakby działał czar ukrytych źródeł. Czujesz, że za chwilę musi spaść gwiazda ...

Kiedy przykłęka w odmętach

Natura powtarza tam zakodowany na wieki, a może i wieczność, modlitewny scenariusz. Chociaż Bug był dziki i nieujarzmiony, skłonny do największych szaleństw i pochłaniania ofiar, to jednak miał szacunek do sacrum. Niby najczulszy muzyk nucił tęskną melodię w Kostomłotach, obok ikon neounickich, i w Kodniu, gdzie zadomowiła się skradziona przez Sapięgę z Rzymu Matka Boska. Za Zamkiem przykłękał na kolana i zastygał w krótkiej ciszy. Później wspinał się na palce, aby zobaczyć choćby kościół św. Ducha, a może nawet i dumną bazylikę. A dalej, już poza Kodniem, radośnie zrywał do kłusowania, opluskując ciemną wodą przybrzeżne krzewy. Wydawało się, że jak koń narowisty w spadającym w dół wąwozie jest zdolny do niezmiernego szaleństwa, ale wkrótce hamował nurt i gubił się wśród piaszczystych łąch.

Klimat Romanowa

Kiedy na równinach Romanowa powiewa wiatr, wydaje się, że wśród wielkich jodeł trwa wielkie wspomnienie dawnej chwały wieków, goryczy i wieńca ludzkich ofiar. Ich pokorny szum i posepny szept jak zawsze jest zapowiedzią tragedii, która musi nadejść, choćby miało upłynąć nawet pół wieku. Na razie jednak pozostajemy na krawędzi lepszej baśni. Słodki Romanów. Szczera przyroda, kojąca cisza zaścianka. Fronton uśmiecha się do słońca. Przestrzeń, jak dawniej piękna, się otwiera. W salonie - feeria muzyki. Wspaniale brzmi ta szkatułka dworu. Gra duet państwa Robaków. To balet z majem, z kwiatami, z niepochwyconym pięknem, które ulatuje, aby się unieścwić. Wtedy przybywamy z zakątków rozpaczliwego serca, ze zburzonego snu, spod zmrużonych rzęs, roztrzepotanych spojrzeń. Bo gdyby puścić całą rzekę żalu, gdybyż zerwać do lotu tęsknotę, każda kolejna minuta może być najważniejsza. Gdzieś głęboko w podmurówce brzmia - ulubiona fisharmonia i fortepian stary. Zawodzą ojcowskie skrzypce. Wtedy krew rzuca się do oczu, wrze, bulgocze i słyhać jej głuchy skowyt. A krzyk w pięści się zaciska. Zęby milczą. Tylko pomruk wyrasta z piersi, zwija się jak wąż obok nóg oraz powala nas samych na ziemię. Tak jakby cała tęsknota skoczyła do gardła i zwarła szpony na krtań. Gdybyż wyszłochać całe serce. Chciałoby się cały skowyt wyrzucić z siebie. Bezsensem jest jednak próba schwywania w ramiona muzyki jak rozbuchanego wodospadu.

Podlaska noc zapowiada

Startuje do odlotu noc. Rozsuwa się czarny plakat z cętkami gwiazd. Zawieszony w powietrzu gęstnieje w ponurą panoramę. Gdzieś zza siedmiu mroków słyhać grzmot. Trzęsie się pień nieba, jakby pękało ob ręce beczki, coraz bardziej ciemniejszego horyzontu. W gardle zasycha tęsknota, naciera ciężki zapach mokrego bzu. Nagle znikają złociste punkciki. Jakiś czarny drwal wykarczował gwiazdy z ogromu nieba. W oczach narasta brunatny piasek. Czy to tylko liściasty bezbronny sen, który przynosi nas do oazy dzieciństwa, gdzie kwitnie jeden wielki kwiat? Ciągłe możliwe jest wyrok na świeżym powietrzu, zanim świt złoży nam wielkie gigantyczne róże.

Powoli uczymy się, że pędu świata nie prześcigniesz nawet najszybszym komputerem. Coraz straszniejszy koszmar, lęk i agresja. Wydarzenia i twarze wirują coraz szybciej, ślizgiem przesuwamy się przez historię, jakby było bliżej końca naszej rzeczywistości. Panika tańczy z histerią, między osierdzie wpija się drzazga szaleństwa. Pod skrońmi wodospad tańczy kankana. Wszystkie sprzeczności płaczą się w gorzki węzeł. Krajobrazy sypią się jak upadające domino, zasypiamy. Każdy oddech przybliży nas w głąb puszystej pomarańczowej kuli. Na szczęście łagodnieją moje oczy.

Przedsmak

Najpiękniejsze są pory i krajobrazy przejściowe, kiedy niespodziewanie babie lato przechodzi w śnieg, a doli-

na puchnie w pełne nadziei wzgórze. Niby jest godzina 24, a stała się już zerowa. Niedziela zawahała się w poniedziałek. A pogranicze? Pogranicze doszło do kresów. Tu brzezina daje przedsmak Wschodu, a Zachód dopiero zachodzi.

Porzucona ściana

Daleko za lasem i krajem ciągną się kresy. Ludzie żyją bagiennie i piaszczyście. Z rzadka tylko połyskuje kresowe jezioro. Wśród zagajników i ugorów znaleźliśmy porzuconą ścianę. Wydawało się, że pasuje do Polski. Odrapana, pełna zamalowanych napisów, sprzecznych haseł i wezwań do lepszego jutra. Przeżarta wrednymi kornikami, ruszona próchnem, smutna jak opuszczona doszczętnie wieś - bez koguta, ciągnika i skrzypienia studni. Tylko z dala smutno, nostalgicznie wył pies, jakby bojąc się zapomnienia. Leżąca na wschodnioeuropejskiej platformie ściana wydawała się być drzwiami do wyciętego lasu.

Żyzne dzieje

Bzy i róże równie radośnie kwitną, jak półtora wieku temu. Ciągnie najświeższy iglasty powiew znad Sosnówki, Wisznicy i Drelowa. Ziemia ugina się od krzyży, macew, mizaretów, kościołów i cerkwi. Choć mało żyzny to piasek, obrodził męczennikami. Niebo skąpiło deszczu, krwi był dostatek. Wszystkie nasze chrome i bardziej zdrowe, a wiotkie anioły, mogą to poświadczyć. Raz zrodzone piękno ma swoją energię o odnawiania nowszej urody świata. Męczeństwo uni-

tów urozmaica i uszlachetnia nasze równiny, już nie są takie płaskie jak dawniej. Wzbogacają je otwarte wertykalnie przestworza. Niesiemy ze sobą wszystkie wcześniej przetrzucone mosty. Chociaż następne pokolenia ćwiczą wielką sztukę przetrwania, wiedzą, że cień każdej zbrodni pozostaje nie tylko w rodzinie, ale i w otoczeniu. Nie pomoże przycupnięta w zadumie kapliczka, pęknięta z tęsknoty rzeźba Frasobliwego. Nawet gdyby po tysiąc razy wtopić się w stada dyskotekowe, nie zagłuszysz tęsknoty głębszej od największych stawów i Buga. Tęsknoty do Boga w niebieskiej otchłani przestworzy. Jakże ciche teraz jest alleluja.

Umarła wieś

(Mogą to być wymarłe Sugry nad Bugiem albo inna następna miejscowość). Choć płoty padły na kolana, żadna ich drewniana modlitwa nie przywróci ludzi. Stara studnia uschnie z pragnienia, a wszystkie ścieżki porosną trawą, mchem, krzewami i zapadną się w martwą ciszę, nie potknie się na nich nawet przerażony zając. Zarosną blizny w leśnym krajobrazie, przybędzie pokrzyw i piasku w nieskończonej klepsydrze umarłej wsi. Po bokach, w ponurej tyralierze nadciągnie step. Nawet cmentarze zginą pod ciężarem zapomnienia. Na mapach przybędzie pustych przestrzeni.

Wyjść na swoje

Bizancjum płąsa po bużyskach. Zaciąga w pieśniach o kazaczokach i iskrzy w lekko skośnych oczach. Łza-

wi nad wybielałą ikoną i starym różańcem unity. Kryje się wśród znajomków, z cichą myślą aby jakoś przetrwać, aby tylko wyjść na swoje.

Okno matki

Okna matek pozostawionych w samotności nawilżone są oparami łez. Zamiast mrozu zasnuwa je tęsknota. To z jej powodu usycha nawet wybujała pelargonja. Matki ustawicznie wypatrują w szybie nadejścia dziecka. Zamiast syna lub córki pojawia się jednak zdradziecki mrok. Nawet we śnie otwarte okno cicho zaprasza synka. A rano mama mówi - *kiedy patrzę na kwitnący sad i wiem, że już nigdy jak on nie rozbłyśnie, wtedy czuję, iż oczy same płaczą*. Smutek to być może szlachetniejsza odmiana tamtego życia.

Tuż-tuż

Rozrzutność naszego świata objawia się w bezliku barw, nieskończoności kształtów i przenikających się kul oraz wirujących płaszczyzn. Najbardziej intryguje w dzwonnym powietrzu, kiedy nie przebrzmiało serce mosiężnego dzwonu, zapowiedź czegoś niepokojącego. Wydaje się, że rychło może nam zagrozić nagle i zła chwila. Przykre zaskoczenie. Mamy w sobie zakodowany gen katastrofy. Tuż-tuż.

Kulawy polonez

W naszej ziemi, na pozór wydającej się urodzajną, szukaliśmy wyjścia. Bezradni jak ślepe kocięta,

dziecko we mgle i aferzysta przed sądem. Po omacku, w lepkiem mroku szamotaliśmy się w rytmie kulawego poloneza. Podtrzymywały nas na duchu dziarskie okrzyki, krótkie zaklęcia i obietnice międzyludzkiej pomocy. Niewidzialny tajemniczy sezam pozostawał poza naszym zasięgiem. Szukaliśmy jednak ziemi bajecznej. Głębokie poczucie odpowiedzialności tamało nam oddech.

Kiedy opadła szczelna mgła, okazało się, że szamotaliśmy się na wzgórzu otoczonym aż po bezkres moczarami. Za siedmioma bagnami, za siedmioma torfowiskami ...

Lepszy nadmiar

Wydawało się, że do nas mrugało okiem jezioro obrośnięte zmierzwioną brodą krzewów. Obok, na leśnej polance, przystanek słońca. Światło gęstniało w cytrynowej żółci. Dokoła, wśród drzew, migotały w promieniach czarne diamenty - jeżyny lepkie od dojrzałego soku. Tak jakby życie podarowało nam jeszcze jeden wymiar - lepszy nadmiar. Znad stawu nadchodzi wiatr. Idzie zamasyście po szuwarach, puszy się w topolach. Jesień ocieka wrzosami i kipi jarzębiną. Wielkie zbiory hojnej natury. Tylko wieczorne cienie drętwiąją w oczekiwaniu. Wtedy cisza rzuca się do uszu. Nikt jednak nie korzysta już ze słowniczka milczenia. Cicho-sza.

Szła miłość

Nigdy klusem. Z rzadka galopem. Prawie zawsze stępa. Aż do zastopowania. Przed metą był mokry faul

z rozsypanymi łzami; nie pozbierasz ich nawet na klęczkach. Z ociąganiem się i otrzępywaniem. Później wietrzenie białych flag. Aż do następnego spaceru.

Tam. Za Bugiem

Tam cisza inaczej odmienia się przez ucho. Dusza tańczy bez opętania. Przesiewa się życie, jak wschodni wiatr w zaroślach. A czas kąsa po łydkach jak wściekły kundel. Tam nie ma szans nawet na ziemię obiecaną. Mrok skrada się w czarnych skarpetkach. Nawet w biały dzień. A nocą księżyc przymyka oko i mruga jak sprośny sutener. Pijany, pogubił monety na granatowym niebie. Świecą jak złote ruble. I wodzą na pokuszenie.

Liryczny eliksir znad Toczny (Duszom na ziemi cierpiącym)

Kiedy głęboką nocą oddycha za nas księżyc, a może firanka mgły, zostaw serce na lepszą okazję, nie warto zakochać się w ciemnościach. Łosice się łaszą do Toczny. Z topoli sypie się puch. Dywany – same bławatki, wonne rumiany. Kusicielsko włosy w wodzie ktoś płucze. To wierzba rozpuściła warkocze. A nad głowami błyskawice kreślą partyturę na wielki koncert burzy. Grzmoty wspaniale imitują grę wrebli. Duszom na ziemi cierpiącym nuczmy cichutką melodię. Tylko w Ciebie wsłuchany mogę słyszeć cichutki szept duszyczki, niewiele większej od wróbelka. Tylko krwawiącą na wietrze jarzębinę przewiążę brzoźową korą, aż zajaśnieje nasz najpiękniejszy narodowy zestaw

dwubarwny. Tak trudno polskie znosić, tak trudno łkać po swojemu. Tak trudno o miłość ogromną się prosi. Tak bardzo boli nasza Polska, obsłiniona przez wielu cwaniaków.

Urzeczenia (3)

Gdy wydaje się, że nocny sad już głęboko śpi, wtedy nagle: pac! pac! pac! Spadają dojrzałe klapsy. Ki czort? Ni czort, ni lord? Zamyśla się człowiek. Tylko spasiony puszczyk dobrze wie, że to on potrafił wielkie dorodne gruchy, z których wylewa się nie sok, a istna ambrozja. Pełna czara upojnej słodyczy idzie na zmarnowanie. Wsiąka w trawę, jak wczorajsze wspomnienie wicherku.

Płakom pragnienia unoszącym

Ni to cybuch, ni kłęby dymu z rudej fajki, ni chmura zza Serpelic - suną. A za nimi mgły znad Toczny. To obfite kłęby bieli, a może zalew wzleciał, aby stać się wielkim oberwaniem chmury. Tylko nasza ziemia jest oryginałem. Ludzie ryją w niej ślady. Zakodowaną tęsknotę do gleby. Pługi tworzą ziemioryt. Cicho. Ciszej niż mgła. Znów podsluchują. Za jeden przeblask słońca, za urok starej kapliczki, za cmentarz u swego końca, gdzie światy przenikają się jak cienie. Roztańczona Toczna w rytmie walca, od brzegu do brzegu. Przetacza się tu życie spowolnione. A po starości ani ŁZY. Inna już liczy się wartość. Psst. Cicho! Sza! To Toczna.

Urzeczenia (4)

Kiedy wieczorami nasza biedna podlaska brzoza zaparty się w niebo i szept mrugających gwiazd, wydaje się być oczarowana. Jak panna młoda w przeddzień ślubu. Nabiera elegancji. Porusza lekko woalem listków, okręca się w wietrznym walcu i poprawia białe rajstopy. A potem zaprasza nocną sowę na dłuższą pogawędkę. Bez mejli, bez esemesów, ale z długim, podlaskim zamilczeniem. Na ten sam temat. A może na tematów sto. Między jednym a drugim milczeniem słychać jak przyspiesza ożywczy sok brzozowy.

Kochany Panie Zbyszku

Główna nagroda w ogólnopolskim konkursie literackim „List do Zbigniewa Herberta” w Siedlcach:

Dopiero po dekadzie od Pana śmierci odważyłem się rozmawiać. Impulsem jest tragedia Gruzji. Przygniata nas kolejna hańba świata naszego. Ciemniejsza od wina jest krew Gruzynów. Dzieje się tak, jak dawniej czytałem: *uczą się pokornej śmierci istot upodlonych*. A nadal diabły schodzą na psy, jak pisał Pan do Czesława Miłosza. Trwa horror z furją historii i wściekłością tyranów. To Pan przecież wspomniął o masakrze pokonanych i o bezkarności zbrodni. Nadal przerażają szaleńcze operacje wojskowe i polityczny oblęd. Pojawiają się następnicy Wotani. Aktualne są stare diagnozy i recepty. A ironia jest niekiedy jedynym balsamem na bezradność. Dziękuję za jej wieloletnie dawkowanie. Tutaj, gdzie nasza chwiejna „trawa”! Demony, nadal trafiają raporty z obłączonych miast. Wciąż ważna jest

niezgoda na klęskę moralności. Nawet obrzydzenie zbrodnią. Aby nie popaść w rozpacz, czytam Pana listy i małe szkice. Wzmacniam się wierszami. Obecnie odkrywam, jak nieznaną łąd, teksty o orientalnej rzezi, o zdobyciu Bastylli i eksterminacji „robactwa”. Przejmująco, prawdziwie brzmią słowa, niby najtrafniejszy komentarz do ostatnich informacji z TVN 24, czy TVN Info. Nadal potrzeba docenić potęgę smaku. A Pan już z Tamtej Strony. Tu zostały: kamyk, stołek, krzesła, tamaryszek, mysz kościelna, drewniana kostka, zegar, komin, wędzidło. Czy poznał Pan Tam przedmioty, których nie ma? Czy zaświat jest równy samemu sobie? Czy pilnuje granic? I czy do Tamtego Ogrodu trafiają barbarzyńcy? Jak postrzega Pan Stamtąd kontury naszych peryferii, które nazywamy wszechświatem? Czy między otchłanią a niebem słychać wrzask aniołów, czy przemyka siódmy z nich, pana bohater? Proszę wybaczyć za ten grad nurtujących mnie pytań, ale tu martwa natura jest coraz bardziej martwa. Kiedy teraz zna Pan istotę i objawienie świata, pewnie nie dziwią już nasze błogosławione przypadki i zbiegi okoliczności. Nie musi Pan przecież przesuwac mebli. Tylko my zostajemy - z tajemnicą, której nie możemy ogarnąć. Ślizgamy się po czasie, niezbyt dokładnie dokonany. Kolekcjonujemy porażki. Utykamy w bezsensownej szarpaninie. A Pan, nie musi już pytać: *Co będzie dalej. Jezu, Jezu*. Labirynty są wyprostowane. Dziękuję za honor i sztyderstwo. Za dar cierpienia i głód epifanii. Za włókna duszy i chrząstki sumienia. Za dziesięć ścieżek cnoty. Za lekcje historii i potęgę smaku.

PS. Proszę pozdrowić Pana Cogito. *Marek Pietrzela*

Z utęsknieniem

Tęsknię za łosickimi pagórkami, co radośnie podskakują hopsasa. Za sosnami, które bawią się z Bugiem w chowanego. Za stadem sarenek tańczącym na miedzy jak młode baletnice. Za małą naszą podlaską Polską, w której wiatr jest najczystszy, a w strumyku księżyc przeciera oczy ze zdumienia. I mamrocze kołysankę o północy, zaplątany w rozwianą fryzurę brzozy, która w żarnowcu gubi białe podkolanówki. Za ożywczym oddechem Serpelic. Za pękatymi jak gospodynie sadami spod Platerowa. I zardzewiała, rudą szyną spod Sarnak. Za sercem, co po polsku wybija rytm pod Łosicami. Z utęsknieniem. Tęsknię. Za kapliczką rozmodloną na bezdrożach. Starą studnią, osieroconą przez ludzi. Za nostalgią lipowej alei, która prowadzi tylko do wspomnień. Za ćwierkotem rozszczebiotanych wróbli pod pałacem w Huszlewie. I za sznurem jeźdźców na wyblakłych drózkach pod Jeziorami. Gdzież Ludwik Maciąg, nasz podlaski Sas nad Sasami? Już nie zasalutuje. Żal. Tęsknię za jego dobrym uśmiechem, którego już nie ma na jawie. Za światem, co płowieje nawet na fotografii. Tęsknię za wszystkimi światami naraz.

Na wiatraki zagłada

Nasze pagórki były strzeżone przez drewnianych olbrzymów. Długo stały ze zwieszonymi ramionami. Podlaskie wiatraki, nieczule na wiatr. Skulone w zapomnieniu. Ciężarne od jałowości tępo wpatrywały się w zarośnięte sosenkami wzgórze. Wspominały wi-

cher we śmigach, szaleństwo młyna, rytm kamienia wirującego na zbożu, śpiew drewna i zapach chrupkiego chleba z lekko spieczoną skórką, która jeszcze paruje. Gdzież szaleństwo wiosennych powiewów? Gdzież rytm kamienia stukającego jak jadący pod górę parowóz? Gdybyż tak zafurkotały sosnowe skrzydła, niby wzlatający śmigłowiec! Po kawalersku, szybko! Gdybyż zaskrzypiały tryby, a niżej nich popłynęła oślepiająca, najczystsza struga jasnobieli. Wysokolitewska mąka! Prawdziwe słońce w śnieżnym uśmiechu. Huczał wtedy kozioł, zgrzytały pierścienie, mrucał biegun miażdżący pękate ziarna. Wiatraki grały. Znienacka zza lasu wyskakiwała chmurka. Narastała. Puchła na cały horyzont. Kozłaki bojowo stawały do walki z nadchodzącą burzą. Z ukosa wpatrywały się w gęstniejącą na niebie chmurę, przybierającą na ciężkości nawałnicę. Wypierzone uginały się przezornie i na drewniany grzbiet przyjmowały wściekły huragan. Kamienne serce spodka gotowe było pęknąć.

Po szaleństwie wody i wichru kozłaki przeżyły się dumnie. Przetrwały. W śmigach znany młynarz Sterniczuk naprawił boczne płachty rwane z sosny. Wydawało się, że na nowo cięły słoneczne promienie. Czeakały na zamówienie dobrego wiatierku. A wiatr taktu nie szanował. Dmuchał jak mu się podobało, hasał na lewo i prawo. Najlepszy z północnego zachodu, z równiny – solidny, bezpłatny pracownik, a złośliwy z innych stron świata. Teraz zmurszałe drewno obiadają stada wron. Sypie się mąka tylko z próchna. Ptaki pogwizdują dawną melodię wirujących śmigów.

Zamarła cisza. Milczące stwory garbią się pod opuszczonymi drętymi ramionami, ponuro chichoczą, trzęsąc dziurawymi ścianami. Resztki schodów gubią się w pokrzywach.

Nasze podlaskie wiatraki traciły szyk i siłę. Z dawnych skrzydeł pozostawały tylko wystające pojedyncze belki, deseczki i fragmenty próchna. Zastygły jak okaleczone giganty, już bez możliwości bohaterskiego przeciwstawienia się wiatrom zza Buga. Zamiast dawnego wystawiania śmigieł na długie powiewy, radosnego mrużenia żaren i śpiewu młynarza na widok białego zalewu mąki, teraz tylko stada rozćwierkanych wróbli przysiadły na ruinie. Szkielet dawnej chwały koźlaka, który powoli zaczął opadać na kolana, jutro pewnie obsypie się z desek i zwinie w gąszczu chwastów. Już nie patrzy w głąb horyzontu, gdzie przeciągały się w podlaskim rozleniwieniu wzgórze, przybrane kolorowymi smugami lasów i pojedynczych brzoź. Kiedy na naszym równinnym Podlasiu pojawi się pagórek, lub nawet większa górka, człowiek czuje się jakby dostał skrzydeł. Jakby wreszcie nieco uniósł się bliżej nieba.

A teraz na górze istna opera chmur. Obłoki piętrzą się w barokowych zwojach. Potężnieje i rozrasta się olbrzymia ich katedra, sięgająca granic widnokregu. Wobec bezbrzeżnego horyzontu, wypełniającego się soczystym granatem chmury, człowiek odczuwa dziwną nieśmiałość i pokorę. Gdzieś znika niezwykle skąpy księżyc, który akurat dziś wyglądał jak wychudzony banan albo źle wypieczony rogal. Powiewy odcinają od komina dym, który jak uwolniony wąż wiję się na ciemniejącym nieboskłoniu.

Źródłisko

W naszym Parku bije jeszcze źródło. Ciekły kryształ płynie pomiędzy wzgórzami, które rozepchnął wielki bochen lodowca. W Przelomie Bugu pluszcze podlaska kołysanka. Zagłusza ją wiatr znad Łosic. Nie ma sumienia. Wygwizduje sztubackie walczyki na brzożach. A brzezina rozsypuje żółte wspomnienia po lecie. Na naszym końcu wszechświata. Gdzie kołysze się Ściana Wschodnia. Podpierają ją trzy dęby. Zagubione praprawnuki podlaskiej puszczy podnoszą ramiona jak silacz. Na chwałę i potęgę Parku. W starorzeczach leniwie płożą się łęgi brzożowo-topolowe. Storczyki zalecają się do tajemnicy. Tylko one znają tajemnicę dziwnych wałów. Niepamięć zarasta nasz Park szybciej od widlaków.

Powidoki z bużyska

Stasiowi Bajowi

W starorzeczu Bugu żaby rytmicznie zrywają z wody kapelusze ciszy. Rechot po rechocie. Łabędź niemy celuje dziobem w oczko bużyska. Słysząc cichszy od szeptu łopot skrzydeł. Cienie aniołów przesuwają się pośród sosen. W gardle narasta puch z igłami. Dziki chmiel nurkuje w zaroślach. A zmurszały płot upada na kolana, rozmodlony za duszę wymarłej wsi. Stara studnia wyschła na wiór. Brakuje jej nawet wspomnienia o dżdżu. Dolina moczy swój bok w rzece. Bug zachlystuje się pogłoskami o cudach. Niesie powidoki o wierzbie, z głęboko wbitym w nią cieniem krzyża w Mościcach, o ikonie, z wonnymi łzami w Terespolu. Święte mirro może być w nas na westchnienie, na

wielkie pragnienie sacrum. Z Bugiem płyną też wy-
modlone i wytęsknione nadzieje. Przepływają. Ucie-
kają. Jak świat od czasu i miejsca swego stworzenia.

Pragnienie

Choćby promyczek ciepła. Lekkie lśnienie światłości.
Tchnienie gorąca. Przyjdź. Ogniem. Żarem. Płomie-
niem. Czulością. Wielkim pragnieniem uśmiechu.
Miękkiego jak aksamit. Wonnego jak upojna bazylia.
Zebrzę o ciepłko, jak o wymięty banknot. O życzliwe
spojrzenie. O jeden rzut oka. Choćby ożywcze tchnie-
nie. Lekkie mrugnięcie powiek. O małe tak. O krzywe
czulości. O okrucuch nadziei. O muśnięcie policzka.
O odrobinę człowieka. Przyjdź. Zaraniem świtu.
Przedsmakiem zmierzchu. Z pragnieniem żaru.

Jakby odłamywała się od serca dusza

Najpierw noc się rozpiera łokciami w ciemnym golfie.
I rozrasta na kurczącym się niebie. Później na niebo-
skłonie serial samobójstw – zrozpaczone gwiazdy spa-
dają z wierzchołka widnokręgu, jak zdradzone ko-
chanki. Tylko pomyśleć i zapragnąć, aby spełniło się
pragnienie, a niebieska tragedia zatwierdzi marzenie.
Czy oczy mogą unieść nas w górę, jak unosi się zach-
wyt? Dopiero po tysiącach chwil jutrzienka przedświtu
ledwie muska wonne świerki. Słyszać tylko nie-
śmiało półszepoty jeziora. Ciut-ciut i zapluszcze złoty
karaś. A my ciągle wyczekujemy preludium do świtu.
Jakby za chwilę można było zachwycić się całym
dziełem stworzenia tego świata. Gwiazda lekko zaran-

na gaśnie. Tęskno, jakby odłamywała się od serca dusza.

Casting saren

Tylko ułomni widzą płaskie niebo, a nie gigantyczne
wodospady chmur, które przelewają się we wszyst-
kich kierunkach. Wydaje się wtedy, że ziemia też pły-
nie poza swoje krawędzie, w przepaść następnego
wieku, by spaść w ciemność czasu niedokonanego.
Dobrze wówczas przytrzymać się poręczy schodów
lub jakiegokolwiek stałego punktu, aż poczujemy
przejście na Tamten Świat.

Nawet bezchmurne niebo ma swoją głębię prze-
stworzy. I wciąga nasze oczy jak świetlicy magnes.
Trzeba wtedy wsłuchać się w siebie, by usłyszeć cich-
szy od szeptu łopot skrzydeł. I jak w gardle narasta
puch pełen wzruszenia. Przeczujemy, że obok nas
przemykają kwanty innej energii.

Na skraju wrzosów sarny pomykają na casting pod
gwiazdami. Migają odbłaski oczu. Na niebie tysiące
świecących plamek. Falują wzgórze, jakby kołysane
powiewem. A noc, tajemnicza brunetka, kusicielsko
płucze włosy w jeziorze. Czarne, jak zwęglona po
wielokroć sadza. Zamaszyście zarzuca wilgotne pukle
nam na oczy. Zapominalska wierzba też rozpuszcza
wiotkie warkocze i głaszcze swoje odbicie w tafli rze-
ki. Oddycha noc, a może tylko faluje mgła nad Bu-
giem, co nasze oczy porywa i przenosi w inną dal?
Znad wody nadchodzi mgła nie-mgła. Złudzenie?
A może realne, groźne wspomnienie?

Wtedy wydaje się, że już prawie mówi do nas nie-
bo. Piętrzy się cały mistycyzm gigantycznych szczy-

tów obłoków, utopionych w nocy. Mrok przelewa się przez gałęzie ciemnoskórego dębu, który dusi w sobie emocje. Gdzie indziej może jest lepiej, ale tu tęskni się głębiej i dokładniej.

Potęga milczenia

Wystarczył kawałek plaży w Szostakach. A może śródleśne piaski w wymarłej wsi Sugry. Była to małeńka pustynia mądrego milczenia. Piasek nie pozwalał na rozrzutność gadania. Wymuszał długie i głębokie zamilczenie. Podobnie jak podczas długiej śnieżycy. Ona też nie daje szans na paplaninę. Podczas takich klęsk narasta cisza. Często, ale nie zawsze, może przeradzać się ona w najsubtelniejszą modlitwę. W głębi zasluchania cenna jest też kontemplacja Najwyższego. Najprawdziwsze uwielbienie. Bezsłowna adoracja. Czy czułeś kiedyś jak milczy Bug? Jak mówi Podlasie? Jak potrafi zasluchać się w sobie cisza sosnowego lasu? Jak milczą sowy? Jak zastygają w wiecznym uwielbieniu ikony? Jak jaśniej tajemniczym blaskiem i ciepłym uśmiechem Matka Boska Kodeńska. Jak krzepnie posągowy bezgłos naszej rozległej doliny Krzny? W takiej bezgłości rozbrzmiewa tylko dusza. W języku ciszy.

E-maile poprzez zaświaty - do Józefa Ignacego K. (poemat odzyskany)

Najpierw - z alei cienistych grabów

Panie Józefie, kiedy na równinach Romanowa powiewa wiatr wydaje się, że wśród wielkich jodeł trwa wielkie wspomnianie dawnej chwały, wieków goryczy i wieńca ludzkich ofiar. Ich pokorny szum i posępny szept jak zawsze jest zapowiedzią tragedii, która musi nadejść choćby miało upłynąć nawet pół wieku.

Na razie jednak pozostajemy na krawędzi lepszej baśni. Słodki Romanów. Szczera przyroda, kojąca cisza zaścianka. Fronton uśmiecha się do słońca. Przestrzeń jak dawniej piękna się otwiera. W salonie – feeria muzyki. Wspaniale brzmi ta szkatułka dworu. Gra duet państwa Robaków. To balet z majem, z kwiatami, z niepochwyconym pięknem, które ulatuje, aby się unicestwić. Wtedy przybywamy z zakątków rozpaczliwego serca, ze zburzonego snu, spod zmrużonych rzęs, roztrzepotanych spojrzeń. Bo gdyby puścić cała rzekę żalu, gdybyż zerwać do lotu tęsknotę, kolejna każda minuta może być najważniejsza.

Gdzieś głęboko w podmurówce brzmia, Twoja ulubiona fisharmonia i fortepian stary. Zawodzą ojcowskie skrzypce. Wtedy krew rzuca się do oczu, wrze, bulgocze, i słyhać jej głuchy skowyt. A krzyk w pięści się zaciska. Zęby milczą. Tylko pomruk wyrasta

z piersi, zwija się jak wąż obok nóg oraz powala nas samych na ziemię. Tak jakby cała tęsknota skoczyła do gardła i zwarła szpony na krtani. Gdyby wyszlochać całe serce. Chciałoby się cały skowyt wyrzucić z siebie. Bezsensem jest jednak próba schwywania w ramiona muzyki, jak rozbuchanego wodospadu.

Podlasie malowniczo owocuje bocianami. Zawsze ich Panie kochałeś i tęskniłeś za nimi, jak za rodzinnym dworem. Teraz ładniejsze niż dawniej są pola ziół. Wesele barw, szal woni i czerwieni, upojny zapach róż i goździków. Do tego bardzo niebieskie niebo i cytrynowy motyl wlatujący z topieli kwiecia. A z góry uderza, toczy się i przygniata, pomarańczowy ogień słońca. Wystarczy przetrzeć oczy, aby „odczarować” piękno świata. Nawet oddech daje radość życia. Spojrzenie w pełne niebo. Pachnie, jakby dopadł nas aromat wszystkich płatków z całego sadu. Tak wspaniale, kiedy bose stopy czują wszystkie ostre krawędzie świata. Gdybyż jeszcze można głębiej oddychać, niby puszysty kwiat - koniecznie barwy niezapominajkowej.

I pojawia się uśmiech – przepustka dowsząd. Rzeźczy stają się konkretne, aż do krwi. Szary kamień, sucha kończyzna i mokra żaba. Rzeczywistość otwiera jeszcze jedną głębię. Świeżości.

Onegdaj - spod strzelistych świerków

Panie Józefie, choć radość u nas skąpa, a gorycz rozległa jak ukraiński step, to jednak ludzie żądni piękna i romansów. Nasze lepsze baśnie zeszyły na

boczny tor. Są bladym cieniem niemal każdego serialu telewizyjnego. Hrabina Cosel przeminęła z wiatrem, a u Woroneckich w Huszlewie teraz ptasi rezerwat. Jako znawca cesarzy, królów i ludu wiesz, że popłuczyny seriali zastąpiły starą, nowszą i nawet jutrzejszą baśń. Gdybyż można przywrócić dawną świeżość świata, pałacu i trawy? Twój dwór nadal trzyma się dobrze, bardzo malowniczo widnieje w kłamrze powoli żółknącej zieleni. Zawsze wydaje się świeży, jakbyś to wczoraj zostawił w przedśionku swój cylinder. Tak jak za dawnych lat życie ciągle urzeka i rozczarowuje ukrytym fenomenem. Wydaje się, że już masz ogon komety w dłoni, ciągniesz ją, a to tylko lepią się resztki babiego lata ... Nad cichym, a zdradliwym Bugiem, spokój jakby otarł się o aksamit aniołów. Nie, jeszcze nie nadlatują. To tylko dociera miły szelstosen. W pajęczynach pełnych światła najprzedniejsza kolekcja diamentów rosy. Motyl przy starym cmentarzu składa skrzydła jak ręce pierwszokomunijnego chłopca. Cisza nieprzeceniona, ukochana, kojąca jak słodki balsam. Głusza aż w uszach dzwoni. Gdzieś za obłokiem rozlega się tajemniczy poszum. Oszez, oszez.

Podlaskie wielkie równiny pod Bulem fikają koziołka. Wzgórza kraszą panoramę. W malowniczą kłamrę obejmują wąską dolinę rzeki. Zasłuchani w krótkie przemijanie Zabuza – w łące jesteśmy, poszumie traw, zatrzepotaniu się wróbli. Wydaje się, że takie piękno może budować dobro. Czy mamy rację, czy tylko złudzenia?

Pozwólcie swobodnie śpiewać ptakom, słońcu zaś
 lśnić znów przeczysto. Czy zbyt słaba jest siła pra-
 wdę, za prosta szczerść? Czy pytania wywołują je-
 dynie dalszy głód wątpliwości?

Powracamy z zakątków zrozpaczonego serca, ze
 zburzonego snu, spod zmrużonych rzęs, roztrzepota-
 nych spojrzeń. Zazwyczaj po serii klęsk, za klęskami
 przychodzi zapaść nadziei.

Latoś – zza szpaleru grabów

Dobrze, żeś objął swym opiekuńczym Duchem (te-
 raz to już wolno tak zauważyć) wszystkie kwiaty
 porastające Twój dwór. Bzy i róże równie radośnie
 kwitną, jak półtora wieku temu. Ciągnie najświeższy,
 iglasty powiew znad Sosnowki, Wisznic i Drelowa.
 Ziemia ugina się od krzyży, macew, mizaretów,
 kościolów i cerkwi. Choć mało żyzny to piasek, obro-
 dził męczennikami. Niebo skąpiło deszczu, krwi był
 dostatek. Wszystkie nasze chrome i bardziej zdrowe,
 a wiotkie anioły mogą to poświadczyć. Raz zrodzone
 piękno ma swoją energię do odnawiania nowszej uro-
 dy świata. Męczeństwo unitów urozmaica i uszla-
 chetnia nasze równiny; już nie są takie płaskie jak
 dawniej. Wzbogacają je otwarte wertykalnie prze-
 stworza. Niesiemy ze sobą wszystkie wcześniej prze-
 rzucone mosty. Chociaż następne pokolenia ćwiczą
 wielką sztukę przetrwania, wiedzą, że cień każdej
 zbrodni pozostaje nie tylko w rodzinie, ale i w oto-
 czeniu. Nie pomoże przycupnięta w zadumie kaplicz-
 ka, pęknięta z tęsknoty rzeźba Frasobliwego. Nawet
 gdyby po tysiąc razy wtopić się w stada dyskotekowe,

nie zagłuszysz tęsknoty głębszej od największych sta-
 wów i Buga. Tęsknoty do Boga w niebieskiej otchłani
 przestworzy. Jakże ciche teraz jest alleluja.

Kiedyś - z olśnieniem popołudniowym

Panie Józefie, dwory i pałace nabierają blasku.
 Lśnią salony, w Romanowie też koncert goni wysta-
 wę. Polska krzepnie. W wielu sercach ożywczy maj.
 Od morza do morza brzmi polska mowa – od Bałtyku
 do Adriatyku (Papież). Nasze pokolenie trafiło w hi-
 storyczną ruletkę. Gdy blask wolności został odzys-
 skany, słabo jednak lśni miłość Ojczyzny. Łatwiej
 o pomniki z brązu, aniżeli z czystego serca. Solidar-
 ność ludzka uwiędła, jak przedwczorajszy tulipan.
 Wydawało się, że zostaliśmy przesunięci daleko na
 wschód. Za Bug, a może nawet dalej. Tylko nasze ka-
 sztanowce modlą się nad biedą okolicznych chłopów,
 zepchniętych do ubóstwa. Słychać jak pomiędzy mo-
 dlitwami puszcza ciężkie lzy. Pac, pac.

Wtedy wiatr gwizdże na wszystko i oburzony
 wdziera się w mały zagajnik. Nawet czerwień jarzę-
 biny, gdy wgrzyźć się w nią dokładniej, bywa gorzka.
 Biedne mogiły naszych przodków rozsypują się jak
 grobowce na starym cmentarzu unickim w Wiszni-
 cach. Nie ma już śladu, w którym grobowcu Twój brat
 Kajetan przechowywał instrumenty astronomiczne.
 Pył ruin i próchna pochłania wszystko.

Znienacka - gdzieś za wsią

Panie Józefie, teraz już wiesz. Piękna nie osią-
 niesz siłą, lecz wzmocnieniem serca. Twoje przebiś-

niegi nadziei, cienie pragnień, krzepa legend słowiańskich, nie poszły na marne. Młodość i całe życie kilku pokoleń przetrwało z Twoim imieniem. Każde z nich płaci cenę poparzenia. Ogień staje się żarem, wybucha silną gorączką, potrafi nasycać się swoim płomieniem. Warto odważyć się i unieść wzrok w największą przestrzeń, gdzie mkną rozproszone niby osy obłoki. Słońce, rozpalony otwarty właz do nieba, pełna blasku ognista pineska, jako żółty fortepian rozsypuje słoneczne słowiki. Wtedy ostrza złota ciepło łaskoczą nasze powieki. Błogostan. Miło, jak po przyjeździe papieża. Jakże dobrze czuć nadmiar lata ... Nawet grabowe szpalery salutują mu w Romanowie.

Chociaż przeminęły pejzaże strzech, żurawi i wiatraków, pełnych drewnianych uroków, to jednak ustawicznie pociąga urok smętnych kapliczek, tonących w gęstwinie dworków i świątków zapadłych w bezczasowe zamyślenie. Ech ... rzeki tu płyną leniwie, jak na bezdrożach usypiający na lewym boku czas. Nikt nie zwalnia nas od wkładania całych rąk w śnieżny żar; teraz osmalone kikuty nie mogą bić braw. Przyszliśmy, byliśmy i ... nie ma nas. Tylko w snach inaczej nam serce gra. Pik, pik, pak.

Na koniec, w poszumie nocy

Panie Józefie, Twoja metafizyka jest coraz bardziej odległa od naszego zbierania papierków, gadze - tów i wymiany złomu, starego na nieco nowszy. Ciągłe ludzimy się, pojedynczo i zbiorowo, że nasz świat nie jest śmiertelny. Licytacja nienasycenia, z kiczem wyświechtanych wyznań. Z rzadka tylko odkrywamy

garby na nieboskłonie. Najpierw kielkuje zmierzch. Staje za pniami drzew. Zараźliwy osacza zieleń i krzewy.

Startuje do odlotu noc. Rozsuwa się czarny plakat z cętkami gwiazd. Zawieszony w powietrzu gęstnieje w ponurą panoramę. Gdzieś zza siedmiu mroków słychać grzmot – trzęsie się pień nieba, jakby pękało obręcze beczki, coraz bardziej ciemniejszego horyzontu. W gardle zasycha tęsknota, naciera ciężki zapach mokrego bzu. Nagle znikają złociste punkciki. Jakiś czarny drwal wykarczował gwiazdy z ogromu nieba. W oczach narasta brunatny piasek. Czy to tylko liściasty bezbronny sen, który przenosi nas do oazy dzieciństwa, gdzie kwitnie jeden wielki kwiat? Ciągłe możliwy jest wyrok na świeżym powietrzu, zanim świt złoży nam wielkie gigantyczne róże.

Powoli uczymy się, że pędu świata nie prześcigniesz nawet najszybszym komputerem. Coraz straszniejszy koszmar, lęk i agresja. Wydarzenia i twarze wirują coraz szybciej, ślizgiem przesuujemy się przez historię, jakby było bliżej końca naszej rzeczywistości. Panika tańczy z histerią, między osierdzie wpija się drzazga szaleństwa. Pod skroniami wodospad tańczy kankana. Wszystkie sprzeczności płaczą się w gorzki węzeł. Krajobrazy sypią się jak upadające domino. Zасыpiamy ... Każdy oddech przybliży nas w głąb puszystej pomarańczowej kuli. Na szczęście łagodnieją moje oczy.

Panie Józefie! Puszczaj jeszcze całkiem nie zginęła. Są bagna nie przetarte, podlaskie moczary z zatopionymi żabami, które zarechoczą w każde ucho, aż do

zachwytu! W oddali cicho kołyszą się łęgi. A pod nogą miękki jak tort kozuch torfowców rozsuwa się, wciąga po kostki, pochłania do kolan, wsysa po pas i ciągle dalej, dalej.

Są tragedie na zakręcie drogi, po których głucha pustka, fioletowy strach w rozszerzonych źrenicach i ziąb w żyłach, wąż pytań bez cienia odpowiedzi. Brrr! Panie Józefie, Ty już wszystko wiesz.

Treść

szeptanki

<i>Lotnisko legło pokotem</i>	6
<i>Urzeczenia. Tam, nieco za graniczną rzę</i>	6
<i>Całokształt na granicy deszczośniegu</i>	7
<i>Nocne przechadzki Kraszewskiego</i>	7
<i>Urzeczenia (2)</i>	8
<i>Lotnisko nadziei</i>	8
<i>Czar Serpelic</i>	9
<i>Podlaskie pasiaki</i>	9
<i>Bużyska</i>	9
<i>Głód nadziei</i>	10
<i>Nasza ruska ruletka</i>	10
<i>Poszum</i>	10
<i>Zagubionej wsi</i>	11
<i>Jak gra nam serce</i>	11
<i>Co nam w duszy ...</i>	12
<i>Nasze peryferie</i>	12
<i>Przełom z goryczką</i>	12
<i>U kresu</i>	13
<i>Prawdki</i>	13
<i>Cień 1</i>	14
<i>Cień 2</i>	15
<i>Choćby</i>	15
<i>Rzuty</i>	16
<i>Tak śpiewa dusza Podlasia ...</i>	16
<i>Rozkwit skanseniku</i>	17
<i>Szuwary</i>	17

<i>Ludziom za lepszym tęskniącym</i>	18
<i>Światom obok istniejącym</i>	18
<i>Sklejanie wiatru</i>	19
<i>Wszystko wróciło</i>	20
<i>Poroniona lekcja</i>	20
<i>Za – duszę</i>	21
<i>Calokształt</i>	21
<i>Miodówka z za piątej pamięci</i>	22
<i>Tajemnicza ikona na nowo zalśniła</i>	22
<i>Duch ☺ naszego czasu</i>	23
<i>Przymiarki do apokalipsy (poemat)</i>	24

igraszki

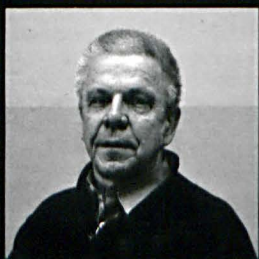
<i>Bug zaczajony w skoku</i>	34
<i>Czarny huragan dzwonu</i>	34
<i>Bialskie urzeczenia</i>	34
<i>Husaria naszego wieku</i>	35
<i>Pisarz z odkrytą głową</i>	36
<i>Gniewie mój (poemat)</i>	36
<i>Tajemnice uroczyska</i>	37
<i>Niebo bogate</i>	37
<i>Co woda pochłania</i>	38
<i>Devaluacja starego kalendarza</i>	38
<i>O dalszy rozkwit</i>	39
<i>Dolarku kochany!</i>	39
<i>Cwane Podlasie</i>	39
<i>Dyrygent</i>	40
<i>Słodziutka herbatka</i>	40
<i>W Tobie nadzieja</i>	41
<i>W szczycie</i>	42

<i>Serce na GPS</i>	43
<i>Iluminacja z czarnym progiem</i>	43
<i>Wcale nie ślepy los</i>	44
<i>Potokom żywo porywającym</i>	44
<i>Przełom z goryczką</i>	45
<i>Pogłębiamy demokrację</i>	45
<i>Pokochajmy polski paradoks</i>	46
<i>Ktokolwiek wie</i>	46
<i>Zastrzeżenie</i>	47
<i>Zdradziecka topiel</i>	47
<i>Janowski pojedynek</i>	48
<i>Ślepe rondo życia</i>	49
<i>Bór na przesmyku snu</i>	50
<i>Demaskacja ognia</i>	50
<i>Bajka o maśle, które znalazło się pod ladą</i>	51
<i>Bajka o sekretarzu, co strzelał do karpia</i>	52
<i>Szczęka komendanta (humoreska)</i>	53

nastroje

<i>Wcale nie ostatni seans „Katynia”</i>	60
<i>Oczy matki</i>	60
<i>Ptakonoc</i>	61
<i>Podziękowanka</i>	61
<i>Pragnienie</i>	62
<i>Głód nadziei</i>	62
<i>Czar Serpelic</i>	63
<i>Podlaskie pasiaki</i>	63
<i>Kiedy przykłęka w odmętach</i>	63
<i>Klimat Romanowa</i>	64
<i>Podlaska noc zapowiada</i>	65

<i>Przedsmak</i>	66
<i>Porzucona ściana</i>	66
<i>Żyźne dzieje</i>	66
<i>Umarła wieś</i>	67
<i>Wyjść na swoje</i>	67
<i>Okno matki</i>	68
<i>Tuż-tuż</i>	68
<i>Kulawy polonez</i>	68
<i>Lepszy nadmiar</i>	69
<i>Szła miłość</i>	69
<i>Tam. Za Bugiem</i>	70
<i>Liryczny eliksir znad Toczny</i>	70
<i>Urzeczenia (3)</i>	71
<i>Ptacom pragnienia unoszącym</i>	71
<i>Urzeczenia (4)</i>	72
<i>Kochany Panie Zbyszku</i>	72
<i>Z utęsknieniem</i>	74
<i>Na wiatraki zagłada</i>	74
<i>Źródliko</i>	77
<i>Powidoki z bużyska</i>	77
<i>Pragnienie</i>	78
<i>Jakby odłamywała się od serca dusza</i>	78
<i>Casting saren</i>	79
<i>Potęga milczenia</i>	80
<i>E-maile poprzez zaświaty (poemat odzyskany)</i>	81



Marek Pietrzela urodził się 05. 01. 1955 r. w Lubartowie. W 1978 r. ukończył filologię polską na UMCS, w 1985 r. Podyplomowe Studia Dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1978-2011 pracował jako dziennikarz ("Siarka" - Tarnobrzeg, "Słowo Podlasia" - Biała Podlaska, "Sztandar Ludu" - Oddz. w Białej Podl., "Dziennik Wschodni").

Utwory literackie publikował w „Szpilkach”, Almanachu Literackim „Iskier”, „Przeglądzie Tygodniowym”, „Akencie”, antologii „Igliwia smak”, „Kresach Literackich”, „Podlaskim Kwartalniku Kulturalnym”, „Pulsie Polonii”. Jest laureatem ogólnopolskiego konkursu literackiego J. I. Kraszewskiego w Białej Podlaskiej, także konkursów w Karczewie, Radzynie Podlaskim, Chełmie, Łosicach, Milanowie, Siedlcach. Był wyróżniony w VI Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Józefa Łobodowskiego, Ogólnopolskim Konkursie Małych Form Literackich im. Stefana Żeromskiego w Nałęczowie, Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim „O Laur Jabłoni” w Grójcu, XIX Ogólnopolskim Konkursie Jednego Wiersza „O Laur Tarnowskiej Starówki”, XI Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Jerzego Leca oraz IV Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim „O Wawrzyn Sądeczyny”.